

Tytuł oryginału:

So kam der Mensch auf den Hund

Ilustracje Konrad Lorenz

Opracowanie graficzne serii Teresa Kawińska

© 1983 Deutscher Taschenbuch Verlag, Munich/Germany

© Copyright for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa  
1996

ISBN 83-06-02512-1

Jak mogło być w rzeczywistości

Przez wysokie, stepowe trawy suną ludzie; niewielka gromada dzikich, nagich postaci. W ręku niosą ościenie, niektórzy mają nawet łuki i strzały. Fizycznie przypominają wprawdzie dzisiejszego człowieka, lecz z zachowania do zwierząt są raczej podobni: ich ciemne oczy pozierają niespokojnie, trwożliwie, zupełnie jak oczy spłoszonej zwierzyny, co ma się stale bać niebezpieczeństwa. Nie są to jeszcze ludzie wolni, panowie stworzenia, jeno istoty prześladowane, co w każdym gąszczu szukają kryjówek.-

Przygnębieni. Silniejsze szczepy zmusiły ich niedawno do porzucenia terenów łowieckich i usunięcia się daleko na zachód — w stepy, w nieznane okolice, \* gdzie znacznie więcej jest drapieżców aniżeli w rodzinnych stronach. Na domiar złego przed paru tygo-' dniami stary, doświadczony łowca, przodownik, co ich prowadził, padł ofiarą kłów tygrysa. Nie było w tym nieszczęściu pociechy, że i rabuś zginął potem, od ciosu włóczni. Najbardziej dawał się hordzie we znaki brak snu. W swych dawnych stronach sypiali . wszyscy przy ogniu, który szerokim koliskiem otaczały też w bezpiecznej odległości uprzykrzone szakale ste\*. Oszczędzało to ludziom czuwania, bo sza-

\* Dzisiaj z pewnością wiadomo, że chodzi nie o szakalę złocistą, ale o bardziej zbliżoną do wilka formę dzikiego psa, prawdopodobnie o indyjskiego wilka *Canis lupus pallasi*. Co do reszty historia "tak się toczyła.

zakale zapowiadały już z daleka zbliżającego się drapieżcę. Oczywiście ludzie pierwotni nie zdawali sobie sprawy z owego pożytku. Nawet jeżeli nie trwonili strzał,

to choć kamieniem odpędzali pieczeniara, co się do ognia zapędzał.

Tak tedy ciągną stepem, znużeni i milczący. Niebawem zapadnie noc, a horda nie znalazła dotychczas miejsca odpowiedniego na nocleg, by wreszcie upiec skąpą zdobycz dnia — kawał pieczeni z dzika: resztki uczyty tygrysiej.

Nagle, niczym sarny wietrzące wroga, wszyscy w napięciu zwracają głowy w tę samą stronę: usłyszeli jakiś dźwięk. Mógł pochodzić jedynie od zwierzęcia napastliwego, bo prześladowane dobrze się już nauczyły zachowywać milczenie. Tak: to szakal się tam odzywa! Horda stoi, dziwnie przejęta, nasłuchując tego pozdrowienia z lepszych i mniej niebezpiecznych czasów. A potem młody przodownik gromady, mający wysokie czoło, czyni coś niezrozumiałego dla reszty: odkrawa kęs zdobyczy i rzuca na ziemię. Możliwe, że irytuje tym innych, bo ostatecznie nie żyją aż w takim dobrobycie, żeby trwonić pieczeń, rozrzucając mięso po stepie. Młody prawdopodobnie sam nie wie, dlaczego to zrobił; działał widocznie pod wpływem uczucia, może chciał mieć szakale bliżej. W każdym razie kilkakrotnie jeszcze kładł po kawałku dziczego mięsa na tropach. Zrozumiałe, że reszta wzięła to za głupi kawał, i przodownik z trudem jeno mógł się obronić przed gniewem zgłodniałej hordy.

\*

Wreszcie wszyscy siedzą jednak koło ognia i wraz z sytością spłynął znów spokój na podrażnioną tłusz-czę.

Naraz rozległ się skowyt szakali. Znalazły rzucone ochłapy i po śladach zbliżają się ku obozowisku. Wte-

dy któryś z ludzi, spojrzawszy pytająco na przodownika, wstaje i w pewnej odległości, na samej granicy światła ogniska, składa na ziemi ogryzki. Ważne zdarzenie: pierwszy raz człowiek karmi pożyteczne zwierzę. Dziś horda może spać spokojnie, bo szakale snują się wokoło obozu, a to odpowiedzialni wartownicy. I gdy nazajutrz wschodzi słońce, horda jest wypoczęta i zadowolona. Od tego dnia nie ma już rzucania kamieniami w szakala.

Minęło wiele lat, wiele pokoleń. Szakale są śmielsze, bardziej oswojone. Otaczają większym stadem siedziby ludzi, którzy polują już nawet na dzikie konie i jelenie.

Szakale zmieniły także tryb życia: podczas gdy pierwotnie poruszały się jedynie nocą, we dzień zaś wypoczywały, schowane głęboko w gęstwinie, teraz najsilniejsze i najmądrzejsze stały się zwierzętami dziennymi i chodzą za człowiekiem podczas wypraw łowieckich.

Więc mogło się kiedyś zdarzyć, że horda ruszyła pó tropach ciężarnej dzikiej klaczy, której ucieczkę utrudnia rana od oszczepu. Łowcy są bardzo przejęci, bo od dawna krucho z żywnością. Toteż i szakale idą w ślad za nimi, bardziej niż zwykle zgłodniałe, bo przy posiłku ludzi przeważnie nic nie dostawały.

Klacz, osłabiona przez brzemień i utratę krwi, chwytą się prastarego wybiegu, właściwego jej gatunkowi: stosuje „przeciwny bieg”, czyli wraca po swoich tropach kilometr, po czym w jakimś zarosłym chaszczami miejscu nagle skręca w prawo.

Nieraz już ten

7

instynktowny fortel pozbawiał myśliwców zwierzyny. Oto i teraz łowcy stanęli bezradni tam, gdzie kończy się trop na twardej, stepowej glebie.

Szakale suną za ludźmi w przyzwoitej odległości, bo jeszcze nie mają odwagi zbliżać się do hałaśliwych, podnieconych łowców. Zresztą idą śladami ludzi, nie zaś zwierzyny. Rzecz zrozumiała: nie ma powodu, by szakal tropił dziką klacz, która nie wchodzi dla niego w rachubę jako zdobycz. Ale te szakale dostawały przecież nieraz od ludzi części grubego zwierza, tedy zapach jego nabrał dla nich nowego znaczenia: zdążyły utworzyć sobie stałą więź pojęciową między krwawym tropem a nadzieją rychłej zdobyczy.

Tym razem są szczególnie wygłodniałe, a trop świeży. Zachodzi więc coś nowego w stosunkach między człowiekiem a jego trabantem. Stara, osiwiała suka, duchowa przewodniczka stada, dostrzega to, co przeoczyli ludzie: mianowicie rozdwojenie się krwawego tropu. Zwierzęta skręcają więc w tym miejscu i rozpoczynają samodzielne tropienie. Przez ten czas ludzie pojęli już, że zwierzę szło przeciwnym biegiem, i zawrócili. Dotarłszy do rozgałęzienia śladów, słyszą gdzieś z boku ujadanie szakali. Szybko odnajdują teraz kierunek, a następnie — ślady, zostawione w stepowej trawie przez tyle zwierząt. I oto po raz pierwszy ustanowił się porządek, w jakim od owego

dnia człowiek i pies tropią zwierzynę: najpierw pies, potem myśliwy. Szybciej od łowców szakale dopadają i wystawiają dziką klacz. Kiedy psy wystawiają grubego zwierza, odgrywa bodaj doniosłą rolę następujący mechanizm psychologiczny: goniony jelen, niedźwiedź czy odyniec, który wprawdzie ucieka przed człowiekiem, ale niewątpliwie walczyłby z psem, najwidoczniej w gniewie na zbliżających się małych, zuchwałych wrogów zapomina o znacznie groźniejszym prześladowcy. Zgoniony dziki koń, który zna szakala złościstego tylko jako jaz-8 gotliwego tchórza, zaczyna się bronić z pasją, gwałtownie kopie przednim kopytem takiego, co się zbyt blisko zapędził. Dysząc ciężko drepce w kółko, ale nie podejmuje ucieczki. Ludzie słyszą hałas dochodzący wciąż z tego samego miejsca; przodownik daje znak, łowcy bezszelestnie się rozpraszają i okrążają zdobycz. Przez mgnienie można sądzić, że szakale się rozbiegną, ale znów się uspokoiły, bo na nie nikt nie patrzy. Mała przewodniczka stada zapomniała całkiem o strachu i wściekle obszczekuje dziką klacz, a gdy ta wali się wreszcie, przesyta włócznią, suka zatapia chciwie kły w szyję ofiary. Dopiero kiedy przodownik ludzkiej hordy pochyla się nad martwym zwierzęciem, szakal cofa się o kilka kroków. A człowiek — może prapraprawnuk tamtego, co pierwszy rzucił szakalom złościstym ochłap zdobyczy — rozpruwa brzuch drgającej jeszcze klaczy i wyszarpnąwszy kawał jelit, odcina go, po czym, nie patrząc wprost na szakala — gest najwyższego intuicyjnego taktu — ciska mięso — znów taktownie — nie bezpośrednio w szakala, lecz nieco dalej w bok. Szara przewodniczka, spłoszona, odskakuje w tył, ale gdy człowiek nie czyni groźnych ruchów, tylko wydaje przyjazny ton, jaki szakale słyszały już nieraz na granicy światła przy obozowym ognisku, rzuca się gwałtownie na kiskę. I kiedy, wycofując się spieszenie i żując już trzymaną w zębach zdobycz, raz jeszcze bojaźliwie poziera na człowieka, ogon jej porusza się drobnym, szybkim rytmem na boki. Pierwszy raz szakal pomierdał człowiekowi ogonem: oto następny krok w stronę domowego psa.

Zwierzęta, nawet tak mądre jak drapieżce z gatunku psa, nigdy nie nabierają zupełnie nowego sposobu zachowania się wskutek nagłego olśnienia, lecz poprzez ciąg skojarzeń myślowych, tworzący się dopiero po wielokrotnym powtórzeniu jakiegś

sytuacji. Mogły przeminać miesiące, zanim owa suka szakala

9

znów biegła poprzedzając myśliwych śladem rannego podczas łowów, kluczącego zwierzęcia. Może dopiero jej daleki potomek poprowadził łowców — regularnie, świadomie i będzie im wystawiał zwierzynę.

\*

Na granicy starszej i młodszej epoki kamienia człowiek stał się ponoć istotą osiadłą.

Pierwsze domy, jakie znamy, to budowle palowe, które ze względu na bezpieczeństwo budowano na płytkich wodach rzek i jezior, a nawet na Bałtyku.

Wiadomo, że w owym czasie pies był już zwierzęciem domowym. Szpic kopalny, mały pies podobny do szpica, którego pierwszą czaszkę znaleziono w szczątkach nadbałtyckich osiedli patowych, wykazuje jeszcze wprawdzie wyraźne pochodzenie od szakala złocistego, lecz niepodobna przeoczyć oznak prawdziwej domestyfikacji.

Należy zaznaczyć, iż wtedy w strefie nadbałtyckiej nie było już dzikich szakali złocistych, które w starszej epoce dyluwialnej żyły na szerszych obszarach niż obecnie. Człowiek, posuwając się na zachód i północ, musiał przeto z pewnością przyprowadzić tam z sobą na poły oswojone stada szakali, podążających za jego obozem, a być może — nawet znacznie już oswojone psy.

Kiedy człowiek jął następnie budować swoje palowe siedziby, a także wynalazł czółno, zaszła bez wątpienia konieczność zmian w jego stosunkach z czworonożnymi trabantami, gdyż te nie mogły już ze wszystkich stron oblegać ludzkich domów.

Należy zatem przypuszczać, że właśnie wtedy, wraz z przejściem do budowli palowej, ludzie wzięli ze sobą najbardziej oswojone, przydatne na łowach, a przez to cenne egzemplarze świeżo obłaskawionych szakali złocistych, czyniąc z nich tym sposobem dosłownie „zwierzęta domowe”.

10

Dziś jeszcze możemy stwierdzić u różnych ludów różne typy hodowli psa.

Najwcześniejszy jest ten, gdy większa liczba psów, pozostających w luźnym stosunku do człowieka, otacza ludzką siedzibę. Inny znajdujemy w każdej europejskiej wsi: kilka psów należy do określonego domu i podlega określonemu

panu. Jest możliwe, iż ten typ rozwinął się wraz z budowlą palową. Zmniejszona liczba psów, jaką można pomieścić w budowlu palowej, pociągnęła za sobą oczywiście hodowlę w pokrewieństwie, co sprzyjało tym dziedzicznym zmianom, które czynią zwierzę stworzeniem naprawdę domowym. Za taką hipotezą przemawiają dwa fakty. Po pierwsze — szpic kopalny o wyższym sklepieniu czaszki i krótszym nosie stanowi bez wątpienia odmianę już domową szakala złocistego, a po drugie — kości tego gatunku znaleziono wyłącznie właśnie w szczątkach budowli palowych. Psy chłopów w okresie budowli palowych musiały być o tyle oswojone, żeby można je było skłonić albo do Wejścia do czółna, albo do przebycia wpraw dzielącej wody i wdrapania się na pomost. Jakiś na wpół oswojony, snujący się wokół obozu kundel nie odważyłby się za nic na coś podobnego; ba, nawet młodego psa z mojej własnej hodowli muszę cierpliwie namawiać, nim wsiądzie pierwszy raz do mego kajaka albo wejdzie na stopień wagonu kolejowego.

Być może, iż obłaskawienie psa było już osiągnięte, gdy ludzie budowali palafity, albo też nastąpiło dopiero w owym czasie. Można sobie wyobrazić, iż pewnego razu jakaś kobieta lub „bawiąca się lalkami” dziewczynka wyhodowała osieroczone szczenię w kręgu rodzinnym ludzi. Może to małe było jedynym pozostałym przy życiu psem z miotu porwanego przez tygrysa. Szczenię płacze, lecz nikt się o to nie troszczy, bo ludzie mieli jeszcze wówczas silne nerwy. Ale podczas gdy dorośli mężczyźni polują w lasach, a kobiety zajęte są połowem ryb, jakaś mała córeczka

11

takiego wieśniaka z osady palowej idzie za dźwiękiem płaczu i znajduje wreszcie w jakimś wykrocie szczenię, które bez trwogi toczy się ku niej i zaczyna oblizywać i ssać jej wyciągnięte dłonie.

Okragłe, miękkie, puszyste zwierzątko budziło niewątpliwie już w dziewczynce wczesnej epoki kamienia pragnienie wzięcia go na ręce, tulenia i obnoszenia bez końca, nie inaczej niż w dziewczynce naszej epoki. Albowiem instynkty macierzyńskie, z których taki odruch powstaje, są odwieczne. Więc i mała córeczka epoki kamienia, zrazu naśladowując w zabawie to, co robią starsze kobiety, dawała psu jeść, a żarłoczność, z jaką szczenię pochłaniało wszystko, co mu podsunęła, cieszyła

ją nie mniej niż nasze matki i żony, kiedy gościom smakuje jedzenie. Słowem zachwyty był wielki, a gdy wrócili rodzice, zastali — zdziwieni wprawdzie, ale bynajmniej nie oczarowani — małego, obżartego szakala. Naturalnie brutalny wojownik chce od razu szczenię wrzucić do wody. Ale córka płacze i szlochając uwiesza się ojcowskiego kolana, tak że ten, potknąwszy się, upuszcza pieska. Gdy chce go ponownie schwycić, zwierzątko jest już w ramionach córki, która drżąca, zalana łzami stoi w najdalszym kącie. Ponieważ ojciec z epoki kamienia nie miał nigdy kamiennego serca dla swoich córeczek — szczenięciu wolno zostać.

Dzięki obfitemu pożywieniu wyrasta niebawem na nieprzeciętnie duże i silne zwierzę. Zrazu z dziecinnym przywiązaniem biega wszędzie wiernie za córką, ale od czasu jego cielesnej i duchowej dojrzałości daje się dostrzec zmiana w jego zachowaniu: choć ojciec, przywódca gromady, prawie się o psa nie troszczy, ten stopniowo coraz bardziej łączy do niego, a nie do dziecka. Albowiem nadszedł właśnie czas, gdy zwierzę, gdyby żyło na wolności, odłączyłoby się od matki. O ile córka odgrywała dotychczas rolę matki w życiu szczenięcia, obecnie ojcu rodziny 12 przypadła rola przewodnika stada, a wobec tego jemu wyłącznie należy się posłuch dorosłego dzikiego psa. Początkowo przywiązanie to wydaje się mężczyźnie uciążliwe, lecz niebawem uznaje, że ten całkiem oswojony kundel znacznie jest użyteczniejszy na łowach niż półdzikie szakale, które snują się po wybrzeżu przed osadą, wciąż jeszcze boją się łowców, a często uciekają wtedy właśnie, kiedy miały wietrzyć i wystawiać zwierzynę. Ale i w tym pies jest zręczniejszy od swoich nieoswojonych towarzyszy, bo jego żywot, bezpieczny w palafitach, wolny jest od gorzkiego doświadczenia z wielkimi drapieżcami. Tak tedy staje się on wkrótce ulubieńcem przywódcy, ku wielkiemu zmartwieniu małej, która rzadko widuje teraz swego dawnego towarzysza zabaw: tylko wówczas, kiedy ojciec przebywa w domu; a ojcowie z epoki kamienia zwykli często i długo przebywać poza domem. Ale na wiosnę, w porze kiedy szakale się szcenią, ojciec wraca któregoś wieczora do domu z futrzanym worem, w którym coś się szamoce i piszczy. A kiedy go otworzył — córka krzyczy głośno z radości, bo do jej stóp toczą się cztery wełniste kłębuszki. Tylko matka spogląda poważnie i wyraża opinię, że i dwa by też wystarczyły...

Czy wszystko tak się właśnie działo? No cóż, nikt z nas przy tym nie był... Ale według tego, co wiemy — owszem: mogło tak być. Wiemy bądź co bądź bardzo niewiele; nie da się ukryć, że nie wiemy zupełnie na pewno bodaj tego, czy jedynie szakal złocisty przystał do człowieka w wyżej, opisany sposób. Jest nawet całkiem prawdopodobne, iż w różnych miejscach Ziemi różne większe, wilkowate odmiany szakala takim czy innym sposobem stały się zwierzętami domowymi, a później łączyły się także między sobą—jak w ogóle bardzo dużo stworzeń domowych pochodzi nie od jednego, ale od kilkorga przodków w stanie dzikim.

13

Z całą jednak pewnością nie wilk północny jest praojcem większości naszych psów, jak to dawniej powszechnie twierdzono. Istnieje mianowicie zaledwie kilka psich ras, mających w sobie — jeżeli nie wyłącznie, to głównie — krew wilczą. Te właśnie przez swą odrębność stanowią niezbity dowód, że inne rasy od wilka n i e pochodzą. Owe nie tylko zewnętrznie, lecz w swej istocie wilkowate psie rasy: husky, psy indiańskie, samojedy, rosyjskie łajki, chow-chow oraz kilka innych, są wszystkie z dalekiej północy. Żadne z nich nie są wszakże czystej krwi wilczej: można sądzić z dużym prawdopodobieństwem, iż ludzie, posuwając się coraz dalej na północ, mieli już ze sobą oswojone psy z rasy szakala, z których następnie, przez ciągłe krzyżówki z wilkami, powstały wymienione rasy. O duchowych właściwościach psów wilczej krwi będę miał jeszcze wiele do powiedzenia!

Źródła psiej wierności

Przywiązanie psa wywodzi się z dwu zupełnie różnych źródeł bodźcowych.

Przeważnie, zwłaszcza w przypadku naszych ras europejskich, jest ono skutkiem takiej więzi, jaka łączy młode psy w stanie dzikim z ich rodzicami, a u psa domowego zostaje na zawsze jako część zjawiska ogólnej młodzięczości.

Drugie źródło przywiązania bierze się z poddań-czej wierności, jaką ma pies dziki dla przodownika stada, ale też z miłości niejako prywatnej, łączącej członków stada między sobą.

To drugie źródło jest silniejsze u wszystkich potomków wilka, aniżeli u pochodzących od szakala, jako że w wilczym życiu zwąrtłość stada odgrywa



donioślejszą rolę.

Jeżeli weźmie się do domu i wychowa w kręgu rodzinnym szczenię jakiegokolwiek rasy dzikiej, można się łatwo przekonać, iż młodzięcze przywiązanie dzikiego zwierzęcia jest identyczne ze związkami trzymającymi większość naszych psów przez całe życie przy ich panu. Taki młody wilk jest wprawdzie płochliwy, woli kryć się po ciemnych kątach, ma zahamowania przebywając odsłoniętą przestrzeń, łatwo może schwycić zębami, gdy ktoś obcy chce go pogłaskać — bo przecież to od urodzenia „gryzoń ze

15

strachu" — lecz wobec własnego pana zachowuje się pod każdym względem, nie wyłączając przywiązania, zupełnie jak młody pies. Jeżeli będzie to samica, która w stanie dzikim uznaje przecież przodownika wilczego stada za „osobistość nadrzędną", wówczas może się utalentowanemu wychowawcy niekiedy udać, że zajmie to miejsce i zjedna jej przywiązanie na stałe. Ale jeżeli to samiec, wówczas jego pan przeżywać będzie regularnie gorzkie rozczarowania.

Zaledwie bowiem zwierzę dorośnie, zniemacka wypowiada swemu człowiekowi posłuszeństwo i staje się niezależne. Nie zachowuje się wprawdzie złośliwie wobec dotychczasowego pana, lecz traktuje go po przyjacielsku, nie zaś jako wzbudzającego postrach władcę. Owszem, może nawet próbować ujarzmić swego pana, by się wysunąć na czoło i zostać wilkiem przodownikiem. A wobec piebezpiecznego wilczego użębienia nie zawsze ma to przebieg całkiem bezkrwawy.

Podobne doświadczenia przeżyłem z moim dingo. Zapewne: nie był krnąbrny, nie próbował też mnie kąsać, ale osiągnąwszy całkowitą dojrzałość, wynalazł wielce osobliwy sposób odmawiania mi posłuszeństwa. W młodym wieku niczym nie różnił się postępowaniem od psa domowego. Kiedy coś zbroił i został za to skarcony, poznać było po nim, że ma nieczyste sumienie; starał się przejednać rozgniewanego człowieka i wyżebrać pieszczotę. Kiedy jednak miał już mniej więcej półtora roku, przyjmował wprawdzie jeszcze każdą karę bez sprzeciwu, to znaczy bez warczenia lub oporu, ale skoro tylko sprawa była skończona, otrząsał się, uprzejmie merdał do mnie ogonem i chciał się bawić; słowem, kara nie wpływała w najmniejszej mierze

na jego nastrój i bynajmniej nie odwodziła go na przykład od następnej próby uduszenia jednej z moich pięknych kaczek.

16

W tym wieku właśnie stracił też zupełnie ochotę, by towarzyszyć mi w codziennym spacerze: po prostu biegł sobie precz, nie bacząc na moje przywoływania. Był przy tym — by jeszcze raz to podkreślić — usposobiony do mnie bardzo przyjaźnie, ilekroć też spotykaliśmy się, witał mnie radośnie z całym ceremoniałem właściwym psiemu powitaniu. Nigdy się bowiem nie należy spodziewać, że dzikie zwierzę będzie się odnosiło do zaprzyjaźnionego człowieka inaczej niż do przedstawicieli własnego gatunku. Ów dińgo miał dla mnie na pewno serdeczne uczucia, jakie dorosłe zwierzę zwykło żywić wobec drugiego zwierzęcia, tylko że nie było w nich uniżoności ani posłuszeństwa. W przeciwieństwie do psów dzikich, wszystkie bardziej zdomestyfikowane, będące, jak zobaczymy, przeważnie krwi szakala złocistego, odnoszą się przez całe życie do swojego człowieka tak, jak młode szakale do starszego.

Jak mniej więcej wszelkie cechy charakteru, również utrzymująca się dziecinność bywa zaletą albo wadą. Psy pozbawione jej zupełnie mogą być w swej niezależności ciekawe z punktu widzenia psychologii zwierząt, ale ich pan niewiele będzie miał pociechy z tych „włóczykijów”. W późniejszym wieku mogą w pewnych warunkach stać się też nader niebezpieczne. Ponieważ brak im typowej uległości, po prostu „nie widzą nic złego” w tym, aby równie mocno pogtyżć człowieka i potrząsnąć nim jak równym sobie. Chociaż —jako się rzekło — właściwym źródłem wierności jest u większości psów domowych zachowane z młodości przywiązanie do pana, krańcowa przesada' może doprowadzić do wręcz przeciwnego skutku. Takie psy lgną wprawdzie niezaprzeczalnie do swego pana — ale i do każdego innego człowieka! Porównywałem kiedyś taki psi charakter do poniekórych rozpieszczonych dzieci, co to do każdego mówią „wujku” i w całkowitym spoufaleniu naprzy-

17

krzają się każdemu obcemu swoimi dowodami uczucia. Nie oznacza to zresztą wcale, że takie zwierzę nie rozróżnia swego pana, nie: serdecznie się cieszy, kiedy go

zobaczy, lecz bezpośrednio potem gotowe pójść z każdym, kto do niego mile zagada czy się z nim pobawi. Jako dziecko dostałem kiedyś od kogoś z kochających krewnych, kto jednak słabo rozumiał zwierzęta, jamnika, będącego istną karykaturą psa! Kroki, gdyż tak się nazywał ze względu na największe bodaj ze wszystkich kupnych żywych istot podobieństwo do krokodyla, którego dostałem przedtem, ale nie mogłem hodować w domu z braku niezbędnej aparatury ogrzewającej, otóż Kroki opętany był wylewną, wszechogarniającą miłością do ludzi; niestety, było mu najzupełniej obojętne-, kto w danej chwili tę ludzkość reprezentował. Początkowo raz po raz odbieraliśmy niewiernego bydlaka z najrozmaitszych domów, dokąd latał, potem zaś wreszcie zrezygnowani przekazaliśmy Krokiego kochającej psy kuzynce, która mieszkała na Grinzingu. Tam wiódł Kroki dziwaczny, nie psi żywot: sypiał raz u tej, raz u innej rodziny, bywał kradziony i odprzedawany (możliwe, że zawsze przez tego samego złodzieja, któremu pomagał swym umiłowaniem ludzkości w niezłym zarobku), słowem, kto tylko dzierżył drugi koniec smyczy, był ukochanym władcą... Inną kartę stanowi przywiązanie i wierność tych ras, w których żyłach płynie krew wilcza. Zamiast uporczywego przywiązania młodości, jakim nacechowane są przede wszystkim nasze pożyteczne psy domowe wiodące ród od szakala złocistego, występuje w nich wierność „drużynie”. Szakal zasadniczo poluje sam, żyjąc głównie jako pożeracz padliny, natomiast wilk jest prawie czystym drapieżcą i łowiąc zdobycz (a przynajmniej grubego zwierza) zdany jest bezwarunkowo na pomoc stada. Stado wilcze musi dla zaspokojenia swych znacznych potrzeb przeby-

wać wielkie przestrzenie. Podczas tych wędrówek musi być zwarte, by móc upolować większą sztukę zwierzyny. Karna organizacja społeczna, wierne trzymanie się przodownika stada i bezwarunkowa solidarność we wspólnej walce z niebezpieczną zdobyczą decydują o powodzeniu w uciśnionym bycie tych zwierząt. Tym właśnie tłumaczy się omawiana tu różnica między charakterem psów szakalopochodnych a wilkopochodnych. Pierwsze widzą w swym panu zwierzę rodziciela, drugie zaś — wilka przodownika. Pierwsze są dzieciennie oddane, drugie zaś okazują, by tak rzec, męską lojalność.

Rzecz osobliwa, jak tworzy się więź młodego psa wilkopochodnego z określonym człowiekiem. Przejście od dziecięcego przywiązania do rodziciela ku lojalności dorosłego osobnika zaznacza się dobitnie nawet wówczas, gdy pies, chowany w ludzkiej rodzinie, izolowany jest od własnego gatunku, a zatem wówczas, gdy zarówno „rodziciela”, jak „przodownika” ucieleśnia ta sama ludzka osoba. Zmiana ta przypomina mocno wyzwolenie się młodego, dojrzewającego człowieka z kręgu rodzinnego w poszukiwaniu własnych dróg i własnych ideałów. Bo i u ludzi zwiążanie się z nowymi ideałami jest zjawiskiem jednorazowym. Biada młodemu, który w tym doniosłym okresie otworzy serce fałszywym bogom! U psa wilkopochodnego okres zwiążania się na stałe z jednym panem przypada mniej więcej na piąty miesiąc życia. Kiedyś, nie wiedząc o tym jeszcze, zapłaciłem ciężkie frycowe. Nasza pierwsza suka chow-chow przeznaczona była dla mojej żony, jako prezent urodzinowy. Aby nie popsuć niespodzianki, powierzyłem ją tymczasem naszej krewnej. Nieoczekiwanie jednak w ciągu tygodnia pobytu półroczne zaledwie zwierzątko zdążyło już skoncentrować swą wierność na owej kuzynce, skutkiem czego upominek znacznie stracił na wartości. Choć bowiem owa pani rzadko

19

nas odwiedzała, jednak mała, pełna temperamentu suczka najwyraźniej ją właśnie, nie zaś moją żonę, uważała za swoją właściwą panią. Jeszcze po latach byłaby gotowa opuścić nas i dobrowolnie podążyć za naszą kuzynką. Suczka Stasi, jedna z moich krzyżówek owczarka z chow-chow, szczęśliwie łączyła w stosunku do mnie mocne przywiązanie młodzieńcze potomka szakali złocistych z ekskluzywną wiernością wobec wodza — swych wilczych praojców.

Stasi miała siedem miesięcy — urodziła się na przedwiośniu 1940 — gdy wybrawszy ją na swego psa, rozpocząłem tresurę. W jej wyglądzie i charakterze zlały się cechy owczarka niemieckiego i chow--chow. Oстрыm wilczym pyszczkiem, szerokimi kośćmi policzkowymi, skośnym ustawieniem oczu, krótkimi, gęsto zarośniętymi uszami, krótką, prostą jak świeca, okrytą wspaniałym futrem kitą, a przede wszystkim elastycznością ruchów przypominała małą wilczycę. Natomiast w płomiennym czerwonym złocie jej sierści wychodził na jaw spadek po szakalach

złocistych. Ale prawdziwym złotem był jej charakter. Zasady psiego wychowania, jak chodzenie na smyczy, przy nodze, warowanie, przyswoiła sobie w zdumiewająco krótkim czasie. Czystość w mieszkaniu oraz wstrzemięźliwość wobec drobiu miała niejako w naturze, tak że wcale nie trzeba było jej tego wpajać.

Mój związek ze Stasi przerwany został równo po dwu miesiącach przez to, że wziąłem wykłady z psychologii na uniwersytecie w Królewcu. Kiedy na Boże Narodzenie wróciłem na krótki urlop do domu, Stasi przyjęła mnie upojona radością i okazała się niezmienna w swej wielkiej miłości dla mnie. Umiała wszystko, czego ją nauczyłem, słowem, była tym samym grzecznym psem, którego opuściłem przed trzema miesiącami.

Ale wręcz tragiczne sceny rozegrały się, kiedy musiałem jechać z powrotem. Jeszcze nim się zaczęło 20

pakowanie, Stasi była wyraźnie przygnębiona i nie odstępowała mnie ani na chwilę. Kiedy wychodził z pokoju, zrywała się nerwowo i chciała towarzyszyć mi, nawet do ubikacji. Gdy walizki były już spakowane, zmartwienie Stasi spotęgowało się aż do neurozy. Nie jadła, oddech miała płytki i niespokojny, przerywany ciężkimi westchnieniami. W dniu wyjazdu chcieliśmy ją zamknąć, aby przeszkodzić towarzyszeniu mi na siłę. Ale Stasi wycofała się do ogrodu, i ten najpo-słuszniejszy ze wszystkich psów — nie usłuchał mego wołania! Wszelkie próby złowienia jej zawiodły.

Kiedy wreszcie zwykła karawana: dzieci, wózek ręczny i walizki — ruszyła z miejsca, w odległości mniej więcej dwudziestu metrów szedł za nią dziwnie wyglądający pies: ze spuszczoną kitą, nastroszoną sierścią i błędnym wzrokiem. Na dworcu ostatni raz spróbowałem ją złapać — daremnie. Jeszcze gdym wsiadał do pociągu, Stasi stała w bezpiecznej odległości, w groźnej postawie zbuntowanego psa, i nie spuszczała ze mnie oczu. Pociąg ruszył, Stasi nadal tkwiła w bezruchu, dopiero gdy zaczął nabierać tempa, błyskawicznie pomknęła wzdłuż wagonów i wskoczyła na stopień o trzy wagony od tego, na którego stopniu stałem sam, by jej przeszkodzić w dostaniu się do pociągu. Szybko pobiegłem do przodu, chwyciłem ją za kark i krzyże i wyrzuciłem z pociągu. Stasi zręcznie spadła na łapy, nie przewracając się.

Potem stanęła, już nie w zaczejonej postawie, i patrzyła za pociągiem, jak długo mogła go dostrzec.

W Królewcu doszła mnie niebawem niepokojąca wiadomość: Stasi pozabijała kilka kur u sąsiadów, włóczy się bez wytchnienia po okolicy, zaniechała schludności w mieszkaniu, nikogo już nie słucha i dlatego muszą ją trzymać w zamknięciu.

Siedziała tedy w żałobie i samotności na tarasie lipowym. Mówiąc o samotności, mam na myśli jedynie towarzystwo ludzi, gdyż dzieliła swój elegancki wy-

21

bieg z samcem dingo, o którym już wspominałem. W końcu czerwca wróciłem do Altenbergu. Pierwsze kroki skierowałem do Stasi. Gdy wstępowałem po schodkach na taras, obydwie psy rzuciły się na mnie wściekle, jak tylko mogą być rozwścieczone psy trzymane w zamkniętym wybiegu lub na uwierzy. Stałem na najwyższym schodku bez ruchu. Zwierzęta raz po raz szarpały się ku mnie, ujadając i warcząc. Ciekaw byłem, kiedy mnie poznają — czysto optycznie, bo wiatr był w moją stronę, tak że nie mogły mnie zwęszyć. Ale psy nie poznawały mnie. Po chwili Stasi zwietrzyła mnie z nienacką i wśród atakowania stanęła jak wryta. Grzywa jeżyła się jeszcze, ogon był spuszczone, uszy spłaszczone w tył — tylko nozdrza rozwarły się nagle bardzo szeroko i chłonęły chciwie niesione przez wiatr przesłanie. Grzywa się położyła, drżenie przebiegło ciało, uszy stanęły sztorcem. Oczekiwałem, że suka rzuci się ku mnie z radością, lecz to nie nastąpiło. Ból jej duszy, tak wielki, że złamał jej osobowość i tej najgrzeczniejszej ze wszystkich psów kazał na całe miesiące zapomnieć o dobrych obyczajach i zasadach, taki ból nie mógł się w parę sekund ulotnić! Stasi przysiadła nagle na zadzie, głowę uniosła w górę nosem ku niebu, w gardle jej zagrało i męka duchowa znalazła ujście w tak straszliwych, a tak przejmująco pięknych zarazem tonach wilczego wycia. Wyła długo, a potem jak burza rzuciła się na mnie, byłem niejako owinięty wirem oszalałej psiej radości. Stasi skakała mi aż do ramion, niemal zdarła ze mnie odzież — ona, ta powściągliwa, opanowana, której powitanie ograniczało się zazwyczaj do paru machnięć ogonem, a najsilniejszym wyrazem czułości było położenie mi łba na kolanie, ta cicha Stasi wydawała teraz z przejęcia świsty jak lokomotywa, krzyczała najwyższym głosem,

głośniej, niż przedtem wyła. Nagle odbiegła, stanęła przy drzwiach wybiegu i obejrzawszy się na

22  
mnie, merdając kitą, zażądała wypuszczenia. Uznała za naturalne, że z moim powrotem kończy się jej niewola, i przeszła do porządku dziennego. Szczęśliwe stworzenie! Godna zazdrości siła układu nerwowego! Przejścia psychiczne, po usunięciu powodu, nie pozostawiły skutków, którym nie dałoby rady pół minuty wycia i jednominutowy radosny taniec, radykalnie zmiatając je ze świata.

Żona zobaczyła, że nadchodzę ze Stasi. „Na miłość boską, kuiy!” — wykrzyknęła przestraszona. Ale Stasi nie zaszczyciła ani jednej kury bodaj spojrzeniem. I kiedy wieczorem wziąłem ją do pokoju, była schludna jak zwykle. Stasi umiała wszystko, czego ją kiedykolwiek uczyłem; przez miesiące najgłębszej niedoli, jaka może spotkać psa, przechowała wiernie wszystko. Gdy wreszcie znów zbliżał się czas pakowania walizek, Stasi stała się cicha i zgnębiona i już nie odchodziła ode mnie. Biedne zwierzę przeżyło ciężkie dni, bo przecież nie rozumiało ludzkiej mowy: oczywiście tym razem postanowiłem ją zabrać.

Tuż przed moim odjazdem suka, jak za pierwszym razem, poszła do ogrodu, najwidoczniej w zamiarze towarzyszenia mi wbrew mojej woli. Pozwoliłem jej na to i dopiero wychodząc z domu zawołałem ją tak : jak zwykle, kiedy chciałem, żeby poszła ze mną. Wtedy nagle zrozumiała stan rzeczy i jęła tańczyć dokoła mnie w najwyższej radości. , Jednak tylko przez kilka miesięcy dane jej było przebywać przy swoim panu, bo już dziesiątego października 1941 roku zostałem powołany do wojska. Powtórzyła się ta sama tragedia, jaka rozegrała się rok wcześniej w Altenbergu; różnica polegała na tym tylko, że tym razem Stasi wymknęła się całkowi-H cie i przeszło dwa miesiące grasowała po okolicy E Królewca jako dzikie zwierzę, wyrządzając jedną szkodę po drugiej. Niewątpliwie ona to była owym zagadkowym „lisem”, który w Cacilienallee splądrowa-

23

wał królikarnię mego czcigodnego kolegi. Dopiero po Bożym Narodzeniu Stasi wróciła do mojej żony, zupełnie wycieńczona i z ciężkim ropnym zapaleniem oczu i nosa.

Kiedy wyzdrowiała, umieszczono ją, ponieważ nie było innego sposobu, w ogrodzie zoologicznym, gdzie skojarzono ją z ogromnym północnosyberyjским wilkiem. Niestety, małżeństwo to pozostało bezdzielne. Po miesiącach — byłem wówczas neurologiem w lazarecie w Poznaniu — wziąłem ją znów do siebie. Jednak kiedy w czerwcu 1944 znów mnie przeniesiono na front, oddaliśmy Stasi wraz z sześciorgiem jej młodych do ogrodu zoologicznego w Schönbrunnie. Tam, tuż przed końcem wojny, padła ofiarą wybuchu bomby. Ale jedno z jej szczeniąt dostało się do naszych znajomych w Altenbergu; od tego psa pochodzą wszystkie psy naszego chowu. Stasi spędziła mniej niż połowę swego niespełna sześćoletniego żywota wraz ze swym panem, lecz była stanowczo najwierniejszym psem, jakiego zdarzyło mi się w życiu widzieć.

## Wychowanie

(r

Nie będzie tu mowy o psach tresowanych „na człowieka”, aportujących ciężkie przedmioty, szukających „zguby” czy popisujących się innymi sztukami. Zresztą pytam szczęśliwego posiadacza psa, który takie rzeczy potrafi, jak często jego towarzysz miał sposobność praktycznego zużytkowania swoich umiejętności? Bo mnie w każdym razie pies nigdy jeszcze z niebezpieczeństwa nie ratował. Wprawdzie raz się zdarzyło, że Pygi II, córka Stasi, trąciła mnie nosem, a kiedy spojrzałem w dół, podała mi w wysoko wyciągniętej mordce zgubioną przeze mnie rękawiczkę. Możliwe, że ją tknęło, iż leżący na moim śladzie i pachnący mną przedmiot należy do mnie — nie wiem. Ilekroć bowiem potem upuszczałem rękawiczkę, Pygi nawet na nią nie spojrzała. Ile też bezbłędnie wytresowanych na „szukaj-podaj” psów przyniosło kiedykolwiek swemu panu zgubiony niechący przedmiot samorzutnie, czyli bez rozkazu?

Zatem nie mówmy tu o owej tresurze, o której już tyle, często i trafnie, pisano.

Wymienimy raczej parę środków wychowawczych ułatwiających każdemu właścicielowi psa obcowanie ze swym podopiecznym: „warowanie”, „koszyczek”,



„chodzenie-przy-nodze”.

; Najpierw jednak słów kilka o nagrodzie i karze. Na-

f 2 - I tak człowiek... 25

gminnym błędem jest, że uważa się karę za skuteczniejszą od nagrody. Podczas wielu zabiegów wychowawczych, zwłaszcza przy wdrażaniu schludności, najlepiej będzie, gdy nie dojdzie w ogóle do czynków „karalnych”. Jeżeli bierze się do pokoju z wybiegu szczenię mniej więcej trzymiesięczne, radzę przez pierwsze godziny stale pilnować wychowanka i przerywać mu, jak tylko będzie się gotował do wyprodukowania płynnego lub stałego corpus delicti. Wówczas trzeba go co rychlej wynieść na dwór, i to — rzecz ważna — zawsze w to samo miejsce. Jeżeli tam wykona, co niezbędne, należy go chwalić i podziwiać, jakby dokonał nie wiedzieć jak bohaterskiego czynu. Tak traktowane szczenię zrozumie zdumiewająco prędko, o co idzie.. Jeżeli jeszcze utrzymamy tę samą porę „spacerku”, wkrótce nie będzie nic do sprząwania.

Co dotyczy karcenia, pamiętajmy przede wszystkim jedno: im szybciej następuje ono po wykroczeniu, tym jest skuteczniejsze. Już po kilku minutach od popełnienia czynu nie ma sensu bić psa, bo nie wie już, dlaczego się to dzieje. Tylko przy wielokrotnych nawrotach, to znaczy kiedy pies dokładnie wie, za co go ukarzą, ma sens i późniejsza kara. Istnieją naturalnie wyjątki. Kiedy jeden z moich psów uśmiercił nowy okaz z mojej kolekcji zwierząt dlatego, że go nie znał, dałem mu do zrozumienia, że taki postępek jest niedozwolony, bijąc go właśnie zewłokiem jego ofiary. Zresztą szło wówczas nie tyle o to, by wykazać psu grzeszność jakiegoś określonego postępku, ile o obrzydzenie mu określonego obiektu.

Zupełnie błędne jest karanie psa po to, aby słuchał przywoływania, jak również bicie go potem, jeżeli ucieknie nam podczas spaceru, znęcony jakąś zwierzyną. Tym sposobem odstrasza się go nie od ucieczek, lecz od powrotu, który w czasie bliższy jest od kary i dlatego zostanie z karą niechybnie skojarzony.

26

< Jedynym sposobem gruntownego wyleczenia psa \*"; jest, w momencie gdy chce uciekać, strzelić za nim . z procy albo cisnąć łańcuszkiem, a nawet ptasim śrutem.

Strzał musi być zupełnie nieoczekiwany. Najlepiej, by pies wcale nie spostrzegł, że piorun z jasnego nieba pochodzi z ręki pana. Waśnie niewytłumaczalność nagłego bólu czyni go dla psa tak dotkliwym. Drugą zaletą tego karcenia na odległość jest to, że pies dzięki niemu nie obawia się kary „ręcznej”. Dla właściwych proporcji wymiaru kary trzeba wielkiej subtelności i znajomości psów. Wrażliwość na karę jest bowiem bardzo zróżnicowana u poszczególnych jednostek. Parę leciutkich klapsów może dla wrażliwego duchowo psa stanowić cięższą karę niż najcięższe lanie dla jego rubaszniejszego brata. Cieleśnie bowiem pies jest wybitnie mało wrażliwy i, z wyjątkiem uderzenia po nosie, prawie niepodobna sprawić mu bólu gołą dłonią. Jeżeli jednak zbiegnie się wrażliwość duchowa z wrażliwością cielesną, jak się to dzieje u niektórych ras, na przykład u spanieli, seterów i innych, trzeba niesłychanie ostrożnie wymierzać karę fizyczną, jeżeli nie chce się zupełnie zastraszyć psa i odebrać mu wszelkiej radości życia i pewności siebie. Wśród moich chow-chow-owczarków zdarzały się, zwłaszcza początkowo, kiedy miot miał w sobie > więcej krwi owczarków, psy niesłychanie wrażliwe na karę, jak również zupełnie na nią nieczułe. Stasi była twarda, Pygi II szczególnie miękka. Kiedy obydwie E coś zbroiły, często publiczność oburzała się na moją i niesprawiedliwość, bo matkę biłem, a córce dawałem zaledwie lekkiego klapsa, pokrzykując na nią. J! A przecież obydwie zwierzęta otrzymały równie skuteczną karę...

Każda kara wymierzona psu działa mniej przez ból, więcej zaś —jako pokaz władczej siły pana. Ale .. zwierzę musi ten pokaz również rozumieć. Ponieważ , psy, jak zresztą także małpy, podczas swej hierarchi-

27

cznej walki nie biją się, lecz giszą, uderzenie nie jest właściwie stosowaną ani zrozumiałą karą. Jeden z moich przyjaciół odkrył, że lekkie ukąszenie w ramię czy łapę, wcale nie kaleczące, wywiera na małpie znacznie trwalsze wrażenie aniżeli najgorsze cięgi. Oczywiście nie każdy jest amatorem kąsania małp... Wobec psa natomiast można zastosować metodę „nadrzędnego” przodownika stada, to jest schwycić go za kark, podnieść i potrząsnąć. To najintensywniejsza i najsrozsza kara dla psa, niezawodnie wywierająca też najgłębsze wrażenie. W rzeczywistości wilk

przodownik, co zdołałby unieść w górę dorosłego owczarka i potrząsnąć nim, byłby prawdziwym super-wilkiem. I za takiego uważa pies swego karzącego pana. Choć ta forma kary wydaje się nam, ludziom, mniej brutalna niż bicie kijem czy pejcem, muszę jednak wyraźnie zaznaczyć, że należy stosować ją bardzo oszczędnie i ostrożnie.

Przy każdej tresurze, wymagającej aktywnej współpracy psa, trzeba stale pamiętać, że nawet najlepszy pies nie ma „poczucia obowiązku” i robi wszystko dopóty, dopóki sprawia mu to przyjemność. A zatem każda kara jest tu niestosowna i bezskuteczna. Jedynie przyzwyczajeniem można skłonić dobrze tresowanego psa, aby przynosił zającą, szedł po tropie czy przeskakiwał przeszkodę nawet wówczas, gdy właściwie nie jest do tego usposobiony. Zwłaszcza na początku takiej tresury, czyli kiedy pies nie przyzwyczał się jeszcze do wykonywania rozkazów, trzeba ograniczać próby do kilku minut i przerywać je, jak tylko gorliwość zwierzęcia zacznie słabnąć. Musi wytworzyć się w nim bezwarunkowe przekonanie, iż wykonywać dane ćwiczenie to nie przymus, tylko przywilej.

Po tych paru ogólnych zasadach wróćmy do trzech tresur specjalnych, które doradzać trzeba każdemu właścicielowi psa. Za najważniejszą uważam waro-

wanie: pies musi się nauczyć warować na rozkaz i podnosić się dopiero po odwołaniu rozkazu. Ta tresura ma niejedną zaletę, i to zarówno dla zwierzęcia, jak dla jego posiadacza. Można mianowicie zostawić psa w dowolnym miejscu i pójść tymczasem za interesami lub po sprawunki; z drugiej strony dobrze warujący pies prowadzi także szczęśliwsze życie, bo pan nigdy nie jest zmuszony zostawiać go w domu. Wreszcie tresura ta poprawia przywoływanie, czyli „apel”: żaden pies nie lubi hamować swej chęci towarzyszenia panu. Otóż gdy otrzymuje rozkaz, by wstać i iść, odczuwa to rzecz prosta jako wyzwolenie. Waśnie dzięki warowaniu rozkaz ten uzyskuje inne zabarwienie uczuciowe: pies nie musi, lecz w o 1 n o mu wstać i iść za panem.

Psy niekarne z natury można nauczyć bezwzględnego posłuchu, by przychodziły na rozkaz, wyłącznie przez warowanie. Egon von Boyneburg, jeden z najlepszych treserów, jakich znam, wolał dlatego kłaść większy nacisk na tresurę warowania niż

na „apel” — przywoływanie. Uczył więc psy, aby na rozkaz kładły się i leżały w każdej sytuacji życiowej, nawet w pełnym biegu. Kiedy jeden z jego psów zamierzał na przykład gonić zwierzynę, baron nie odwoływał go bezpośrednio z powrotem, tylko mówił: „Down” (leżeć). Widać było wówczas wzniecony przez gwałtowne hamowanie w biegu wir kurzu, a kiedy kurz opadł grzecznie warującego psa. | Tresura na warowanie jest tak prosta, że powinna udać się każdemu, nawet mniej zdolnemu „pedagógowi”. Zaczyna się ją zwykle najwcześniej między siódmym a jedenastym miesiącem życia psa; z szybko dojrzewającymi rasami wcześniej, z innymi później. Szybki postęp jest okrucieństwem dlatego, że za piecie byłoby żądać od żywego jak żywe srebro i rozionego dziecka, aby na rozkaz leżało spokojnie, pając należy od wyprowadzenia młodego psa na suchą łąkę, czyli na miejsce, gdzie by się i tak chętnie położył. Wówczas bierze się go za kark i krzyż i łagodnie przyciska w dół, mówiąc przy tym odpowiednią komendę. Nie szkodzi, jeżeli za pierwszym razem użyje się nieco siły. Niektóre psy rozumieją żądanie wcześniej, inne później, inne znów stoją sztywno jak kozioł i pojmują dopiero wtedy, kiedy się im przygina tylne, a następnie przednie łapy. Z reguły jednak zaskakująco mało prób trzeba, aby mądry pies zorientował się, o co idzie, i na komendę chętnie się położył. Ale już od pierwszego razu należy zabronić psu, by wstał bez wyraźnego polecenia. Jest błędem uczyć psa w dwu osobnych seansach warowania i wstawania!

Początkowo stoi się tuż przy nim, mówi do niego i wymachuje mu palcem tuż przed nosem, tak że nie ma nawet okazji pomyśleć o wstaniu! Potem woła się nagle:

„Chodź!”, a po odbiegnięciu od niego o parę kroków zaczyna się go głaskać lub bawić się z nim, słowem — wynagradza mu się przebyte właśnie przykrości.

Jeżeli młody pies wydaje się przeciążony i wykazuje skłonność do wycofania się, aby uniknąć dalszych ćwiczeń, należy natychmiast zaprzestać tresury i odłożyć ją do następnego dnia. Stopniowo wolno przedłużać czas warowania, którego się od psa wymaga. Potrzeba sporo taktu, aby utrzymać właściwą proporcję pomiędzy surowością a serdecznością. Tresura nie powinna nigdy przerodzić się w zahawę; ta bowiem dozwolona jest dopiero jako nagroda za wyczynię. Dlatego należy

bezw warunkowo zapobiec temu, by pies na komendę „waruj” rzucał się swawolnie na grzbiet.

Kiedy osiągnęło się Wreszcie kilkuminutowy czas warowania, trzeba stopniowo'coraz bardziej oddalać się od leżącego psa, jednak pozostawać w pierwszym okresie w jego polu widzenia. Jeżeli pies, posłusznie

30

warując, czeka przez wiele minut na komendę „wstań”, można się odważyć odejść dalej. Uprzejmi mu się zadanie, jeśli się pozostawi przy nim parę przedmiotów, które zna dobrze jako należące do pana. Im będzie ich więcej, tym lżej jest psu warować przy nich. Jeżeli na przykład zabierzemy psa na wycieczkę składakiem i ułożymy go koło namiotu, łodzi, nadmuchiwanych materaców, koców i tak dalej, będzie wzorowo czekał na swego pana. Jeżeli ktoś obcy zechce zabrać któryś z pilnowanych przedmiotów, pies wpada w szaloną wściekłość nie dlatego, że ma jakiegokolwiek pojęcie o własności pana czy o zadaniu, jakim jest chronienie tych rzeczy — lecz dlatego, że pachnące panem przedmioty oznaczają dlań, niejako reprezentują, dom. Kiedy więc widzimy dobrze wdrożone do warowania psy, które na przykład zdają się pilnować teczki swojego pana, wówczas psychologiczna sytuacja jest taka: przedmiot jest dla psa mocno zmniejszonym symbolem domu, pan zaś nie zostawił tu psa, by pilnował teczki, tylko zostawił teczkę, żeby pies przy niej leżał! Kiedy zostawia się Warującego psa w obcej okolicy, to przy wyborze miejsca trzeba koniecznie brać pod uwagę, że jest okrutne kazać wrażliwemu zwierzęciu warować na uczęszczanej publicznie drodze czy ulicy; wyszukujemy spokojny kąt lub możliwość zasłonięcia się. Jest to konieczne dlatego, że dłuższe warowanie kładzie się ciężarem na duszy psa. Jeśli zostanie jednak prawidłowo wytresowany, wówczas nie odczuwa już tego jako wysiłek, lecz jako radość, bo może wszędzie swemu panu towarzyszyć, co jest dla każdego porządne-■ go psa najwyższym szczęściem w życiu. Wobec bardzo mądrych psów możemy się odważyć na rozluźnienie potrzebnych, zrazu surowych, zasad tresury. Stasi, prawdziwa mistrzyni warowania, wiedziała na przykład dobrze, że skoro waruje przy moim rowerze, nie mam nic przeciwko temu, by nie trwała

31 .

w bezruchu, w postaci sfinksa, lecz poruszała się swobodnie w promieniu kilku metrów. Pojęła bowiem, o co tu właściwie chodzi. Zawarliśmy też następującą umowę (co prawda niezamierzenie): jeżeli warowała bez mego roweru czy teczki, wówczas czekała mniej więcej dziesięć minut, po czym szła sama do domu. Warując przy jednej z moich rzeczy czekałaby do sądnego dnia! Stasi doprowadziła tę umiejętność do takiej perfekcji, że warowała samorzutnie! Podczas mego pobytu w Poznaniu miała miot szczeniąt, których ojcem był dingo z królewieckiego ogrodu zoologicznego. Zaprzyjaźniony lekarz dał nam do dyspozycji wybieg, aby wychować tam młode. Ale Stasi została w nim tylko trzy dni. Na czwarty, kiedy miałem w południe jechać z lazaretu do domu, zastałem ją leżącą, jak zwykle, koło roweru. Nie pomogły żadne próby odstawienia jej do dzieci; uparła się pełnić swą zwykłą „służbę”. Mimo to pozostała obowiązkową matką: dwa razy dziennie — wczesnym przedpołudniem i przed wieczorem — biegła o parę ulic dalej do dzieci, by je nakarmić. W pół godziny później leżała już znowu przy rowerze. Pokrewne warowaniu są „koszyczki”. O ile pierwsze jest, by tak rzec, na użytek zewnętrzny, o tyle drugie — na użytek wewnętrzny, czyli kiedy w domu chce się na pewien czas psa oddalić. Ponieważ komendy „odejdz!” nie zrozumie nawet najmądrzejszy pies; słowo to jest dla niego zbyt abstrakcyjne; psu trzeba dokładnie powiedzieć, dokąd ma iść. Służy temu ów „koszyk”, który bynajmniej nie musi być realnym, wyplatany przedmiotem. Wystarczy wygodny ką, który zwierzę wybrało sobie może i tak jako miejsce snu. Na komendę: „do koszyka!” albo „na miejsce!”, pies musi się w to miejsce wycofać i nie opuszczać go bez wyraźnego pozwolenia. Mniej łatwa niż dwie omówione jest tresura trzecia: „chodzenie-przy-nodze”. Dobrze wyuczona,

32

sprawia, że smycz staje się zupełnie zbędna. Tresurę tę należy wiele razy powtarzać; prowadzonego na smyczy psa zmusza się, by szedł tuż przy prawej lub lewej nodze, lecz zawsze z tej samej strony swojego pana. Głowa musi być przy tym stale w równej linii z nogami pana, tak aby zwierzę mogło się od razu przystosować do

każdej zmiany tempa. Bardzo niewiele psów ma przy tym ćwiczeniu skłonność do pozostawania w tyle; większość raczej wyrywa się naprzód, co musi być każdorazowo karane szarpnięciem za smycz lub leciutkim kłapsem po nosie. Także przy wszystkich zwrotach pies musi pozostawać tuż przy panu „na dotyk”. Najłatwiej to osiągnąć wówczas, gdy się idzie początkowo w lekkim nachyleniu, psa zaś prowadzi jedną, a tuli go do siebie drugą ręką. W każdym razie trzeba ogromnej cierpliwości, zanim dojdzie się w tej tresurze do jakichś takich wyników. Także i tu potrzebne są dwie komendy: jedna stanowiąca rozkaz, druga — uwalniająca od niego. To właśnie najtrudniej dać psu do zrozumienia. Byłoby oczywiście najprościej stanąć z psem idącym u nogi i powiedzieć „biegnij”, a potem poczekać, aż się oddali. Ale jeżeli to zrobi nie rozumiejący tej komendy, będzie wierzył, że sprawa zależy od niego. Każdy taki wyłom szkodzi osiągniętej już tresurze.

Ponieważ pies czuje, czy jest na smyczy, czy nie, w pierwszym z tych przypadków będzie stosunkowo łatwo osiągnąć posłuszeństwo komendzie. Jeżeli smyczy nie ma, wówczas wiele psów, i to właśnie psów mądrych, w ogóle nie dba o rozkaz. Jeżeli nie chcemy się uciec do łańcuszka czy procy, które to sposoby tresury niezbyt kocham, pozostaje jedna tylko możliwość: wziąć psa na cienki, lekki sznur, którego by nie czuł. Przy tym psu najzupełniej brakuje rozumowania przyczynowego: Stasi na przykład początkowo słuchała komendy tylko wtedy, kiedy miała na sobie obrozę i wlokła kawałek liny, wszystko jedno

33

jakiej długości i czy miałem jej koniec w ręku, czy nie, wszystko też jedno, jak daleko była ode mnie. Bez ciągnącego się za nią sznurka natomiast „czuła się wolna” i ani myślała słuchać komendy. Niebawem stało się to zresztą zbyteczne, gdyż Stasi we wszystkich sytuacjach, które by tego wymagały, brała się, że tak powiem, sama na smycz: szła wzorowo przy nodze, zwłaszcza wówczas, gdy ją kusiły do zakazanych czynów bodźce zewnętrzne. Kiedy na przykład szedłem przez cudzy dziedziniec, gdzie ukazanie się rudego wilczura wywoływało panikę wśród zwierząt domowych i roztrzępotane ptactwo oraz beczące jagnięta nęciły suczkę, przytulona bez rozkazu do mego lewego kolana szła przy nodze, aby nie ulec pokusie. Drżąca z podniecenia, z

rozwartymi nozdrzami i stojącymi sztorcem uszami szła przy mnie. Widać było wyraźnie, jak napięta jest niewidzialna smycz, na której się sama prowadzi.

Postępowanie takie nie byłoby naturalnie możliwe, gdyby suczka nie uczyła się w młodości gruntownie i prawidłowo chodzenia przy nodze. Ale według mnie jest coś szczególnie ładnego w tym, że pies nie powtarza niewolniczo wyuczonego zachowania się, lecz je odmienia rozumnie, chciałoby się niemal powiedzieć: twórczo.

Porozumienie indywidualne w społeczności jednego gatunku zwierząt, ów mechanizm zapewniający sensowną współpracę pojedynczych stworzeń w nadrzędnej całości stada czy sfory jest zupełnie innej natury niż mowa słowna, która w naszym przypadku, ludzi, rozwiązuje wszystkie te ważne dla życia sprawy.

Omówiłem to już dokładnie w innej mojej książeczce (Opowiadania o zwierzętach). Znaczenie poszczególnych sygnałów, to jest „wyrażających” ruchów i dźwięków, nie jest bowiem ustalone przez indywidualnie opanowywaną konwencję, jak ma się sprawa ze słowami mowy ludzkiej, tylko przez wrodzone, „instynktowne” normy działania i reagowania. Cała „mowa” jednego gatunku zwierząt jest więc nieporównanie konserwatywniejsza, jej „obyczaje i rytuały” są zarazem znacznie starsze i bardziej obowiązujące od ludzkich. Można by napisać księgę o nieprzekraczalnych prawach panujących w psim ceremoniale i dyktujących zachowanie się silniejszych i słabszych, męskich i żeńskich psich okazów. Widziane powierzchownie, prawa te, mające korzenie w pranaturze psa, przypominają reguły zachowanych obyczajów człowieczych. Również w oddziaływaniu na życie społeczne, w funkcjach życiowej

35

wagi są do nich wybitnie podobne. W sensie tej analogii należy właśnie rozumieć tytuł niniejszego rozdziału.

Nie ma nic nudniejszego niż abstrakcyjne prezentowanie praw, jakkolwiek byłyby ciekawe same przez się. Dlatego w swoich opisach pozostanę przy konkretach i postaram się tak przedstawić na paru przykładach żywe oddziaływanie przepisów społecznych psiego życia, aby czytelnik niepostrzeżenie przeszedł do abstrakcji



panujących praw. Przede wszystkim powiem o sposobach zachowania się w dziedzinie hierarchii — o prastarych zwyczajach i rytuałach, które nie tylko wyrażają nadrzędność i niższość społeczną, lecz ją w znacznym stopniu ustanawiają.

Przyjrzyjmy się tedy kilku psim

spotkaniom, jakie czytelnik często już snadź widywał.

\*

Wolf II i ja idziemy wiejską drogą. Kiedy koło gromadzkiej studni skręcamy na szosę, widzimy o dobre dwieście metrów dalej wieloletniego rywala i wroga Wolfa imieniem Rolf, stojącego na ulicy. Musimy przejść obok niego, spotkanie jest nieuniknione. Obydwaj są najsilniejszymi i siejącymi postrach — słowem najdostojniejszymi psami w okolicy. Nienawidzą się obaj wściekle, lecz zarazem tak dalece się wzajemnie siebie obawiają, że, o ile wiem, nie doszło nigdy jeszcze do walki między nimi. Od pierwszego wejrzenia widać, że spotkanie jest dla obu stron bardzo nieprzyjemne. Zamknięte w ogrodzie domowym, za płotem i furką, oba wściekle by ujadaly i groziły, każdy pewien, że tylko sztachety przeszkadzają mu skoczyć tamtemu do gardła. Teraz jednak, na dworze — by się wyrazić w sposób ucłowieczający — każdy z obu nieprzyjaciół czuje niejasno, że winien jest swemu prestiżowi urzeczywistnienie 36

"wcześniejszych pogroźek i że uniknąć tego byłoby „blamażem”.

Oczywiście, już z dala widzą się wzajemnie. Natychmiast przybierają postawę „imponującą”, to zna-• czy prostują się i pionowo wznoszą ogony. Tak idą ku sobie, coraz wolniej i wolniej. Kiedy dzieli je tylko pięćdziesiąt metrów, Rolf kładzie się nagle w pozie zaczajonego tygrysa. W obu psich twarzach nie widać wyrazu niepewności, ale nie widać też groźby. Czoła i nosy nie marszczą się, uszy stoją sztywno, zwrócone do przodu, oczy szeroko otwarte. Wolf nie reaguje w ogóle na zaczajenie Rolfa, chociaż w oczach ludzkich groźnie to wygląda, lecz kroczy spokojnie wprost na rywala. Dopiero kiedy staje tuż przy nim, Rolf podnosi się raptownie na całą wysokość i oto stoją oba bok w bok, głową do ogona drugiego, obwąchując sobie wzajemnie swobodnie nastawione tyły. Właśnie to swobodne podsuwanie okolic pośladka jest wyrazem pewności siebie. Skoro tylko zmniejszy się

ona, bodaj minimalnie, ogon się opuszcza:. Z położenia ogona można jak ze wskaźnika odczytać stan odwagi psa w danej chwili.

Napięta sytuacja, w jakiej stoją nieruchomo dwa psy, trwa dość długo. Stopniowo gładkie pierwotnie twarze zaczynają się kurczyć. Na czołach powstają wzdłużne i poprzeczne bruzdy, w kierunku punktu nad oczami nos się marszczy, zęby obnażone. Mimika ta oznacza wręcz groźbę, także pies, który się boi i przyciśnięty do muru grozi tylko w obronie własnej, przybiera ten wyraz. Stopień odwagi i panowania nad sytuacją zaznacza się tylko w dwu miejscach głowy: w uszach i kątach pyska. Jeżeli uszy stoją prosto i ku przodowi, a kąty ust się nie rozciągają, wtedy pies się nie boi i gotów jest do ataku. Każde drgnienie strachu wyraża się w odpowiednim poruszeniu kątów pyska oraz uszu, jakby te części niewidzialna siła — chęć ucieczki — ciągnęła ku tyłowi.

37

Jednocześnie z wyrazem aktywnej groźby zaczyna się warczenie; im głębiej ono brzmi, tym pewniej czuje się zwierzę — oczywiście uwzględniwszy tu naturalną skalę głosu danego indywiduum. Zuchwały foksterier warczy oczywiście wyższym głosem niż tchórzliwy bernardyn.

Stojąc wciąż bok w bok, Rolf i Wolf zaczynają się okrążyć. Każdej chwili należy się obawiać „czynów”. Ale całkowita równowaga sił między mocarstwami zapobiega wypowiedzeniu wojny. Warczą wprawdzie coraz groźniej, lecz nic się nie dzieje. Rodzi się we mnie podejrzenie, które się wzmacnia, gdy widzę, że Wolf zerka na mnie z ukosa, co zaraz i Rolf powtarza: że mianowicie oba oczekują po prostu, ba, spodziewają się mojej interwencji, która zdejmie z nich moralny obowiązek walki. Ambicja bowiem, by zachować godność i prestiż, nie jest bynajmniej cechą wyłącznie ludzką; wypływa z głębokich pokładów instynktownego życia duchowego, w czym są z nami jak najbardziej spokrewnione zwierzęta wyższych gatunków. Tymczasem nie interweniuję, tylko pozostawiam psom wymyślenie godnego odwrotu. Bardzo powoli cofają się obydwaj, krok za krokiem idą na przeciwległe chodniki i wreszcie, wciąż pozierając spod oka na przeciwnika, podnoszą jak na komendę nogę: Wolf na słup telegraficzny, Rolf na balasek poręczy ulicznej.

Następnie, wciąż w postawie imponującej, odchodzą każdy w swoją stronę i każdy w pewnej mierze unosi w sobie fikcję, że zwyciężył i onieśmielił nieprzyjaciela.

Dziwacznie zachowują się czasem suki, obecne przy takim występie dwóch równych sobie siłą i jakością samców. Małżonka Wolfa, Susi, niewątpliwie pragnie takiej walki. Wprawdzie nie pomaga wówczas w istocie swemu małżonkowi, ale chce widzieć, jak da on lanie drugiemu psu. Dwukrotnie byłem 38

r

^Świadkiem, że użyła wręcz podstępu: kiedy Wolf z in-pym psem, za każdym razem zresztą był to pies nie-miejscowy, „pies kuracjuszów”, stali, głowa przy ogonie, Susi ostrożnie i z zainteresowaniem obchodziła je dookoła, one zaś nie zwracały na nią uwagi jako na sukę. Następnie cicho, lecz mocno uszczypnęła swego męża w nastawioną przeciwnikowi tylną fasadę. Wolf musiał więc sądzić, że to jego wróg, w ten niesłychany, głęboko oburzający sposób, uchylbiając prastarym prawom psich obyczajów, ugryzł go podczas obwąchiwania w zadek. Naturalnie rzucił się na niego; a ponieważ taki atak był dla tamtego nie mniej nieuczciwy i oburzający niż poprzednie uszczypnięcie dla Wolfa, wywiązywała się niezwykle zażarta walka.

\*

Wolf spotyka trochę już podstarzałego kundla, mieszkającego w najwyżej położonych domkach naszej wsi. Kiedy Wolf był jeszcze niedorostkiem, bardzo się bał starego. Teraz nie boi się już wprawdzie, lecz nienawidzi go zajadlej niż każdego innego psa i nie omija żadnej sposobności, by mu dokuczyć. Kiedy psy się ujrzały, stary zastygł nieruchomo, ale Wolf rzuca się, szturcha go ramieniem i ruchem tylnej połowy ciała, po czym staje przy nim. Stary odpowiedział natychmiast serio pomyślanym kłapnięciem, lecz chwycił tylko powietrze, bo w momencie chwytu trafił go już szturchaniec. Teraz stoi wprawdzie wyprostowany, na sztywnych łapach, ale ogon jest spuszczone; nie zdobywa się na swobodne podsunięcie zadu. Nos i czoło są groźnie zmarszczone, uszy daleko w tył, kąty ust wyraźnie rozciągnięte, głowa wysunięta naprzód w niskim pochyleniu. Ta zgarbiona postawa w połączeniu z groźną mimiką i rozdrażnionym warczeniem jest zdecydowanie niebezpieczna.

Kiedy Wolf chce znów podejść, stary, rozpaczliwie kłapiąc, rzuca się ku niemu, i Wolf odskakuje trochę w tył. Na sztywnych nogach, w krańcowo imponującej postawie, obchodzi w kółko starego psa, podnosi nogę przy najbliższym nadającym się do tego przedmiocie i oddala się. Gdyby ująć sens zachowania się starego kundla w ludzkie słowa, brzmiałoby to mniej więcej tak: „Nie jestem dla ciebie rywalem, nie mam ambicji, by cię przewyższyć, lub choćby dorównać ci społecznie, nie włożę ci w drogę, chcę tylko, żebyś mi dał spokój. Jednak jeżeli tego nie zrobisz, będę walczył wszystkimi środkami, także nie fair, zaciekle, jak tylko zdołam!”

\*

Wolf spotyka przy gromadzkiej studni małego, żółtego kundelka, który się go panicznie boi i natychmiast usiłuje zemknąć drzwiami do sklepu towarów mieszanych. Wolf rzuca się do niego i szturcha go wspomnianym już wierzgnięciem tylnej części, tak że kundel odlatuje od domu z powrotem na ulicę. Wtedy Wolf jest już przy nim jak burza i szturcha go raz po raz. Mały krzyczy za każdym razem przeraźliwie, jakby w największym bólu; wreszcie kłapie i gryzie rozpaczliwie napastnika. Ale Wolf nawet nie warknie, nie ma też groźnego wyrazu, daje się tylko kąsać z zupełnym spokojem i szturcha dalej. Gardzi tamtym jako przeciwnikiem tak dalece, że nie warto mu nawet otworzyć pyska. Ale nienawidzi go, bo żółty niejednokrotnie pokazywał się w naszym ogrodzie, gdy Susi miała cieczkę. Wyładowuje więc swą wściekłość na słabszym w ów opisany, mało wytworny sposób. Dla wielkiego strachu, przejawiającego się we wrzaskach bólu, jeszcze zanim ból da się odczuć, charakterystyczne jest zupełnie określone rozciągnięcie kątów warg: rozciągają się mianowicie szeroko 40 wstecz, przy czym ciemna śluzówka jamy ustnej wyslizguje się na zewnątrz, jest widoczna jako brązowy kontur. Nadaje to psiej twarzy szczególnie płaczliwy, także dla ludzkiego oka, wyraz, do którego wydawanie dźwięków pasuje w bezpośrednio zrozumiały sposób.

\*

Wolf I przyszedł do swej małżonki, Senty, i dużych już dzieci na taras lipowy. Wita się z Sentą, oba psy merdają ogonami, Senta czule liże go w kącik pyska i trąca

nosem. Następnie Wolf zwraca się ku jednemu ze swoich synów. Ten podchodzi do ojca śmiało, trąca go nosem, ale wzdraga się, gdy ojciec próbuje obwąchać go z tyłu, przy czym, nieustannie machając ogonem, spuszcza go nisko. Plecy młodego są przygarbione, postawa pokorna, ale najwidoczniej nie obawia się niczego ze strony ojca, staje się nawet natrętny, usiłując trącać go pyskiem i lizać kącik warg, po prostu mu się narzuca. Stary pies nie przybiera wprawdzie postawy imponującej, ale zachowuje się tak sztywno i dostojnie, że sprawia to wręcz wrażenie zakłopotania, Zrazu wykręca głowę w bok, jak najdalej od pyska oblizującego go młodzieńca, wreszcie podnosi nos wysoko, aby syn nie mógł go dosięgnąć. Kiedy ten, rozzuchwalony cofaniem się ojca, staje się coraz natarczywszy, na pysku ojca pojawia się nawet lekka zmarszczka niechęci. Natomiast czoło młodego psa jest nie tylko gładkie, lecz nawet rozciągnięte szeroko, tak że zewnętrzne kąty oczu wyglądają jak szparki, ściągnięte w tył i opuszczone. Jak przedtem gesty powitalne Senty, tak te wyraziste ruchy są zupełnie takie same, jakie miękki, bardzo pokorny pies miewa wobec swego pana — człowieka. By to wyrazić antropomorficznie, w młodym psie za-

41

chodzi kompromis między pewną bojaźliwością a miłością, zmuszającą go do zbliżenia się do pana.

\*

Susi spotyka we wsi dużego, mniej więcej rocznego mieszańca collie z owczarkiem, syna wspomnianego już Rolfa. Ponieważ ten wziął ją w pierwszej chwili za Wolfa, którego bardzo się boi, więc się przeraził. Na skutek słabego wzroku psy mogą z daleka rozróżnić tylko ogólny zarys formy, a ponieważ Wolf jest jedynym chowchow, do którego widoku przyzwyczajone są okoliczne psy, często więc się zdarza, że naszą małą, zuchwałą Susi mylą z jej groźnym krewniakiem. Ogromna zuchwałość, jaką rozwinęła wkrótce ta młoda dama, da się na pewno tym właśnie tłumaczyć, że ogólny respekt, jaki zawdzięczała tym omyłkom, przypisywała własnej potędze, przeceniając swą osobę. Ciekawe wnioski na temat słabego rozeznania kolorów nasuwają się w związku z tym, że takie omyłki w ogóle mogły się zdarzyć,

skoro Wolf jest płomiennie rudy, Susi zaś błękitnawocynamonowa. Otóż ów młody pies rzuca się do ucieczki, Susi błyskawicznie go dogania i zatrzymuje. Kiedy ściągnąwszy uszy i szeroko wygładziwszy czoło pokornie przed nią stanął, ośmiomiesięczna zaledwie suczka zaczyna pobłażliwie i przyjaźnie machać ogonem. Próbuje powąchać go od tyłu, lecz ten podkulił trwożliwie ogon między tylne łapy i szybko się obraca, nastawiając jej tym sposobem nie tylko bok, lecz zwracając ku niej pierś i głowę. Dopiero teraz zdaje się rozumieć, że ma do czynienia nie z groźnym, szorstkim mężczyzną, lecz z młodą, miłą dziewczyną. Prostuje sztywno grzbiet, podnosi ogon i posuwa się nieco ku niej drepcząc tanecznie. Mimo lekko zaznaczonej postawy imponującej, mimika twarzy i uszu jest nadal poddańcza. Stopniowo jednak to znika, 42

ustępując miejsca wyrazowi, który określiłbym jako uprzejmość. Od pokory różni się to tylko nieznaczną zmianą położenia uszu i kątów ust. Uszy leżą nadal płasko ku tyłowi, chwilami są jednak tak mocno ściągnięte, że ich końce się dotykają. Usta natomiast rozciągnięte są jak poprzednio szeroko, ale już nie płaczliwie ku dołowi, lecz wyraźnie ku górze, co dla oka ludzkiego daje efekt podobny do uśmiechu. Jeżeli z takiej zmiany wyrazu, jak to się z reguły dzieje w razie jej silnego zaznaczenia, wyłoni się propozycja zabawy, wówczas pysk rozchyła się lekko, widać język, a mocno wygięte ku górze kąty ust, rozciągnięte niemal aż do uszu, sprawiają jeszcze bardziej wrażenie śmiechu. Śmiech ten najczęściej widzujemy u psa, który bawi się z ukochanym panem, wpadając przy tym w taki zapał i gorliwość, że musi ziajać. Może opisana tu mimika psa jest w ogóle jakimś wstępem do ziajania, w miarę jak się wytwarza nastrój zabawy. Za tym przypuszczeniem przemawia przecież fakt, że ów „śmiech” daje się zaobserwować głównie w zabawie zabarwionej z lekka erotyzmem, podczas której psy, jak wiadomo, już po niewielu poruszeniach rozgrzewają się tak, że silnie dyszą.

Pies stojący naprzeciw mojej małej Susi uśmiecha się coraz szerzej i coraz mocniej drepce przednimi łapami; nagle szybko robi wypad ku suczce, uderza ją w pierś przednimi łapami, zawraca i zmyka w przedziwnej postawie: plecy jego są wciąż poddańczo zgarbione, a w podkulonym zadzie ogon między łapami. Ale w tej

trwożnej postawie pies wykonuje susy na boki, a ogon merda, jak potrafi, tkwiąc wciąż między tylnymi łapami. Po kilku metrach zresztą ucieczka się kończy, zalotnik znów się obraca i stoi oto z szeroko roześmianą twarzą przed suczką; ogon też podniósł o tyle, żeby mu w zamaszystym merdaniu nie przeszkadzały pięty. Zresztą nie ogranicza się to merdanie do samego ogona: porywa ono całą tylną

43

połowę psa. Pies znów przyskakuje do Susi. Tym razem jego zachęta do zabawy ma już bez wątpienia charakter odrobinę erotycznej propozycji, która jednak w tej chwili, ponieważ suczka nie jest w okresie ciecarki, pozostaje symboliczna.

\*

Na zamku Altenberg, gdzie stanowisko psa domowego zajmował ogromny, czarny jak noc nawofun-land imieniem Lord, córka dostała na urodziny zachwycającego, zaledwie dwumiesięcznego pincze-ra-gryfona. Byłem świadkiem pierwszego spotkania obydwu zwierząt. Chociaż Quick, ów pinczer-gryfon, był niezwykle zuchwałym i czupurnym dzieciakiem, przestraszył się śmiertelnie na widok zbliżającej się góry ciemnego futra. Jak wszystkie szczenięta w podobnych sytuacjach padł płasko na grzbiet, a gdy Lord obwąchiwał mu brzusek, wypuścił malutką, żółtą fontannę. Wówczas olbrzymi pies, po węchowej kontroli tego wylewu uczuć, odwrócił się poważnie i dostojnie od przerażonego „baby”. Ale Quick w mgnieniu oka porwał się na nogi i, ogarnięty „paroksyzmem biegu”, jał galopować, zataczając ciasne ósemki dokoła nóg kolosa, skakał na niego rozbawiony i zachęcał do pościgu. Mała właścicielka, która do tej chwili ze łzami, i przytrzymywana przez okrutnych braci, patrzyła na to spotkanie, odetchnęła teraz z ulgą, gdy rozpoczęło się owo doprawdy wzruszające widowisko, jakim jest zabawa bardzo dużego psa z bardzo malutkim.

\*

Te sześć psich spotkań wybrałem jako przykłady ze względu na ich wyrazisty charakter. W rzeczywistości istnieją oczywiście niezliczone odcienie i mieszaniny 44 uczuć i odpowiedniej do nich gry wyrazu: pewności siebie, strachu, imponowania,

oddania, ataku, obrony. Ważnie przez to analiza postępowania jest tak trudna. Musi się znać te opisane — i jeszcze wiele innych — typowe zmiany wyrazu, aby móc odczytywać je prawidłowo z psiej twarzy, jeżeli nawet ukazują się na niej bardzo przelotnie lub zmieszane z innymi.

\*

Szczególnie przyjemną i miłą cechą nie opisywanego tutaj, lecz od czasu praojców wyrytego na dziedzicznych runach ośrodkowego układu nerwowego psiego prawa jest rycerskość wobec suk i szczeniąt. Żaden normalny pies nie ukąsi przedstawicielki swego gatunku; suka jest bezwarunkowo tabu i wobec psa może sobie na wszystko pozwolić: wolno jej go uszczypnąć, potarmosić, a nawet dotkliwie ugryźć. Pies nie ma innych środków zaradczych aniżeli okazać pokorę i wspomnianym „wyrazem uprzejmości” spróbować obrócić w zabawę atak rozłoszczonej białogłowy. Jedynej pozostałej możliwości, to jest po prostu ucieczki, wzbrania męska godność, gdyż właśnie wobec suki pies bardzo dba o „zachowanie twarzy”.

Wolf, jak również psy z przewagą wilczej krwi — grenlandzkie psy eskimoskie — okazują rycerską powściągliwość wyłącznie wobec suk własnego stada, wszystkie zaś psy z przewagą krwi szakala złocistego — wobec każdej suki, nawet zupełnie obcej. Chow--chow zajmuje stanowisko pośrednie: jeżeli żyje stale wśród podobnych sobie, to potrafi wobec obcych suk szakalopochodnych zachować się po chamsku, warczeć na nie, a nawet szturchnąć, ale nie widziałem żadnego, który by sukę naprawdę ugryzł.

Gdyby potrzebny był dodatkowy dowód, by mnie przekonać o zoologicznej odmienności, ba, zupełnej

45

odrębności chow-chow z silną przewagą wilczej krwi od naszych psich ras europejskich — uznałbym za taki dowód wrogość, jaką można obserwować stale między tymi psami pochodzącymi z różnych gatunków dzikich. Spontaniczna nienawiść do chow-chow ze strony wiejskich kundli, które nigdy podobnego psa nie widziały, a zwłaszcza naturalność, z jaką każdy kundel traktuje jak równego sobie



szakala lub dingo, są dla mnie reakcjami bardziej przekonującymi i świadczącymi o pokrewieństwie aniżeli wszelkie pomiary i obliczenia proporcji ich czaszek i szkieletów, na których to statystycznych danych opiera się teoria przeciwstawna mojej. Przede wszystkim zakłócenia współżycia utwierdzają mnie w tym przekonaniu. Zdarza się mianowicie bardzo często, iż oba gatunki psów wzajemnie się nie uznają, tak że samce wobec suk i młodych nie respektują nawet najelementarniejszych „psich praw” lub czynią to w niedostatecznej mierze. Badacz empiryczny, zoolog mający wyczucie systematyki i dziejów gatunku, po prostu w i d z i, że pies wilkopochodny jest to inny rodzaj niż pies szakalopochodny. A skoro same psy, które z pewnością nie działają pod wpływem naukowej różnicy poglądów, też to niewątpliwie wiedzą, tedy wierzę im bardziej niż wszelkiej statystyce.

Między zwierzętami tego samego gatunku i tej samej społeczności młode mające mniej niż jakieś pół roku jest absolutnie nietykalne. Gest pokory — padanie na grzbiet i siusianie — konieczny jest tylko na pierwszy moment spotkania i służy najwidoczniej głównie temu, by zawiadomić dorosłego psa, iż ma do czynienia z dzieckiem. Brak mi obserwacji i eksperymentów dla ustalenia, czy dorosły pies rozpoznaje wymagające opieki dziecięstwo jedynie po tym zachowaniu, czy też cechę młodego wieku postrzega iw zapachu dziecka, co wydaje mi się prawdopodobne. Z pewnością nie odgrywa tu roli 46

iznica wzrostu między starym a młodym. Kąśliwy finały foksterier obchodzi się z młodym bernardynem jak z potrzebującym opieki dziecieniem, chociażby ten był znacznie od niego większy, samce zaś bardzo idużych ras nie mają przeważnie zahamowań, by upatrywać w małych psach przeciwników w walce, lubo takie zapatrywanie wydaje się z człowieczego punktu widzenia nader nierycerskie! Nie chciałbym wkładać między bajki chlubnej rycerskości bernardynów, nowofunlandów i dogów, jaką się im przypisuje w stosunku do mniejszych psów; ale... osobiście nigdy jeszcze takiego szlachetnego zwierza nie poznałem, mimo nieprzeciętnego bogactwa moich doświadczeń w znajomościach z psami. Niezwykle wesołą, ba, wzruszającą scenę wywołać można, jeśli da się okrutnie „do zabawy” pełnemu godności, staremu psu, ze skłonnością do imponującego sposobu

bycia, gromadkę małych szceniąt. Nasz stary Wolf I w sam raz nadawał się do takiego doświadczenia: był poważny, nie lubił zabaw, dlatego było mu niezmiernie przykro, gdy go zmuszano do odwiedzenia na tarasie swoich dwumiesięcznych wówczas dzieci, do których na domiar złego przyłączony był ich rówieśnik dingo. Gdy starsze już pieski, w wieku mniej więcej pięciu miesięcy, zaczynają szanować jakoś profesorską powagę starego psa — poważania tego zupełnie brak młodszym! Rzucają się ze swymi ostrymi i niezgrabnie, nieogłędnie szczypiącymi zębami na ojca, gryząc go po nogach, tak że musi podnosić to jedną, to drugą łapę, jakby stąpał po czymś gorącym. Przy tym nie wolno mu, biedakowi, nawet warknąć, a cóż dopiero skarcić utrapień-ców. Rzecz dziwna, Wolf, ten nasz mruk, zaczął się po jakimś czasie jednak bawić ze swoimi dziećmi, dał się w pewnej mierze w to wciągnąć, ale dobrowolnie nie poszedł nigdy na taras, dopóki jego dzieci były małe.

47

W niejednym podobna bywa sytuacja psa samca wobec napadającej nań suki. To samo zahamowanie: by nie gryźć, a nawet nie zawarczeć — lecz motyw, który zmusza psa do zbliżenia się ku wojowniczej damie, jest nierównie silniejszy; a konflikt między męską godnością a obawą przed ostrym użębieniem przeciwniczki oraz potęgą żądz erotycznej powodują, że jego zachowanie się wygląda niekiedy niby satyra na postępowanie ludzkie. Przede wszystkim elementy zabawy w omówionym już dwornym postępowaniu sprawiają u starego, poważnego psa niemal przykre wrażenie. Kiedy taki srogi wojownik, mający już daleko za sobą czas dziecięcych igraszek, drepce przednimi łapami i figlarnie podskakuje w tył i naprzód, wówczas nawet nieskłonny do ucłowieczania obserwator czyni pewne porównania. Uwydatnia je jeszcze natarczywiej zachowanie się suki, która traktuje psa z irytującą wręcz pychą, ponieważ może sobie na wszystko pozwolić.

Przekonałem się o tym na dobrym przykładzie, kiedy to odwiedziłem ze Stasi szarego wilka w jego klatce. Po krótkim czasie wilk zaproponował mi zabawę, w którą, mile polechtany, dałem się wciągnąć. Ale Stasi kwaśno przyjęła to, że zajmowałem się więcej wilkiem niż nią, i nagle przeszła do ataku na mego towarzysza zabawy. Otóż suki chow-chow mają szczególnie ohydne jazgotliwe szczekanie i określony

iób szczypania, kiedy chcą „ukarać” samca. Nie iją wprawdzie głęboko i mocno, jak walczące garnce, lecz chwytają, najwyraźniej umyślnie, samą 4lcórę, i to z dostateczną zawziętością, tak by pies boleśnie zaskowyczał. Również wilk zaskowyczał usiłując ująć — w kornej postawie i z uprzejmym gestem - rozwścieczonej Stasi. Ponieważ — rzecz jasna — nie chciałem wystawiać jego rycerskości na zbyt uciążliwą próbę, przede wszystkim dlatego, że obawiałem się, iż sam ucierpię, gdy zbudzi się w nim nie-.chęć, przywołałem rozgniewaną babę dobitnie do porządku. Tak zaszedł paradoksalny wypadek, mianowicie wybiłem Stasi z głowy, że może zrobić coś złego łagodnemu wilkowi! Ledwie dziesięć minut, wcześniej przygotowałem sobie przy klatce żelazny drąg oraz dwa wiadra wody, aby w razie czego obro-.nić moją ulubioną malutką suczkę przed atakiem potężnego drapieżcy! Sic transit gloria — łupi!

3 — I tak człowiek...

Pan i pies

Bardzo różnorodne pobudki skłonić mogą człowieka do nabycia i hodowania psa; ale nie wszystkie są dobre! Przede wszystkim wśród przyjaciół psa zdarzają się ludzie szukający ucieczki u zwierząt jedynie na skutek gorzkich doświadczeń. Nastraja mnie poważnie i smutno, gdy słyszę najzupełniej błędne i złe zdanie: „Zwierzęta są przecież lepsze od ludzi!” Albowiem nie jest tak doprawdy! Przyznaję, że psia wierność nie ma sobie równej pośród społecznych lojalności ludzkich. Pies na zna natomiast owego labiryntu sprzecznych częstokroć moralnych zobowiązań, nie zna lub zna tylko w znikomym rozmiarze rozterki między chęciami a powinnością, słowem, nie zna tego wszystkiego, co nas, biednych ludzi, obciąża winą. Bo i najwierniejszy pies jest w sensie ludzkiej odpowiedzialności, amoralny.

Prawdziwie dokładna znajomość obyczajów społecznych wyższych gatunków zwierząt nie prowadzi bynajmniej, jak sądzi wielu, do umniejszania różnic między człowiekiem a zwierzęciem; przeciwnie: jedynie dobry znawca postępowania zwierząt potrafi docenić niepowtarzalną i wybitną pozycję człowieka wśród

stworzeń. Naukowe porównywanie zwierzęcia z człowiekiem nie oznacza bynajmniej ani ujmy god-

50

i ludzkiej, ani też uznania dla nauki o genetyce, w samej istocie twórczego, organicznego stawia się, jako że stwarza ono zawsze coś nowego, coraz wyższe go, co w poprzednim stopniu, z którego wywodzi, nie było jeszcze ukształtowane ani bodaj nie istniało w zarodku. Co prawda po dziś dzień tkwi całe zwierzę w człowieku, bynajmniej jednak nie cały człowiek w zwierzęciu. Nasza genetyczna metoda poznawcza, która siłą rzeczy rozpoczyna od stopni niższych, czyli od świata zwierzęcego, pozwala nam właśnie tym jaśniej stwierdzić to, co w człowieczeństwie najistotniejsze: owe wysokie osiągnięcia ludzkiego rozumu i etyki, których nie było nigdy u zwierząt, oddzielamy je bowiem od tła starych, historycznych właściwości i osiągnięć, jakie dziś jeszcze wspólne są wyższym gatunkom zwierząt — i człowiekowi. Zdanie, jakoby zwierzęta były jednak lepsze od ludzi, jest zwyczajnym błuznierstwem. Nawet dla krytycznego badacza przyrody, który niełatwo odwołuje się do bożego imienia, zdanie takie oznacza sataniczne odżegnanie się od twórczego rozwoju w świecie organizmów żywych.

Niestety, przerażająca większość przyjaciół zwierząt, a zwłaszcza ich obrońców, trwa w tym etycznie skrajnie ryzykownym zapatrywaniu. Jedynie taka miłość do zwierząt jest piękna i uszlachetniająca, która wywodzi się z szerszej rozumianej i ogólniejszej miłości do całego świata istot żywych, najważniejszym zaś jej ośrodkiem musi być miłość ludzkości: „Kocham wszystko, co żyje” — te słowa wkłada J. V. Widmann w swojej legendzie dramatycznej Święty i zwierzęta w usta Zbawiciela. Jedynie kto może o sobie powiedzieć to samo, ma prawo bez moralnego niebezpieczeństwa oddać serce zwierzętom. Kto jednak rozczarowany i rozgoryczony człowieczymi słabościami odbiera swą miłość ludziom, darząc nią psa lub kota, popełnia bez wątpienia ciężki grzech, by tak

51

rzec — społeczną sodomie, równie wstrętą jak płciowa. Albowiem nienawiść do ludzi i miłość do zwierząt stanowią bardzo złą kombinację.

Rzecz to oczywiście niewinna i dozwolona, gdy ludzie samotni, nie mający z jakiegó przyczyny życia towarzyskiego, biorą sobie psa, czując potrzebę pokochania — i doświadczania radości z psiego uczucia.

Człowiek doprawdy przestaje czuć się sam na świecie, kiedy istnieje stworzenie, które cieszy jego powrót do domu.

Z punktu widzenia psychologii zwierząt i ludzi jest niezmiernie pouczające, a nieraz i zabawne studiowanie harmonijnego dostrajania się pana i psa. Już sam wybór psa, a jeszcze bardziej późniejszy rozwój wzajemnych stosunków, nastęrcza interesujące wnioski. Jak w życiu ludzi, tak i tutaj zarówno najjaskra-wszy kontrast, jak i największe podobieństwo prowadzą do szczęśliwego współżycia. I jak u starych małżeństw odnajduje się rysy upodobniające męża i żonę niczym rodzeństwo, tak z biegiem lat ustalają się także podobieństwa między całym wzięciem pana i psa, wzruszające i śmieszne zarazem.

U doświadczonego znawcy psów podobieństwa te wzmacniają się naturalnie jeszcze przez to, iż wybór rasy i psiej jednostki dyktowany bywa sympatią dla pokrewnej istoty. Suczki chow-chow, które towarzyszyły kolejno w życiu mojej żonie, były typowym przykładem takiej „sympatii” czy „psiego echa”. Ze mną zasadniczo bywa podobnie, tak że dla serdecznych

52

i

jaciół, znających dobrze nas oboje oraz nasze psy, jest źródłem wesołości wynajdywanie odbicia nagłych właściwości w naszych psach. Psy mojej żony są zawsze uderzająco schludne i mają pewien zmysł po-iządku: nigdy nie wchodzą w kałuże, chód ich tego, nie uczono; na najwęższej ścieżce poruszają się między grządkami kwiatów i warzyw, nigdy na nie wchodząc. Moje natomiast muszą się wytarzać w błocie i wnoszą do domu nieopisany brud, słowem: różnią się w sposób analogiczny od mojej żony, jak ja sam. Tłumaczy się to poniekąd faktem, że moja żona wybierała spośród psów naszego chowu jedynie takie szczenięta, w których przeważały cechy powściągliwych, kocio-schludnych i w ogóle „szlachetniejszych” chow-chow, podczas gdy ja wolałem zawsze takie, w których przejawiało się więcej

ruchliwej, witalnej, lecz niewątpliwie też bardziej rubasznej natury mojej starej owczarki Tito. Dalsza paralela widoczna jest w tym, że — mimo bardzo bliskiego pokrewieństwa — psy mojej żony są delikatne i wstrzemięźliwe, moje zaś żrą bez miary. Jak się to dzieje — nie potrafię wytłumaczyć!

Moim zdaniem, posiadanie „psa-echa” lub „psa równoległego” świadczy zawsze o pewnym zrównoważeniu, ba, wręcz o zadowoleniu z siebie przyjaciela zwierząt. Stosunki wytwarzające się w takich przypadkach między panem a psem układają się w ten sposób — by zacytować śliczne słowa Wilhelma Bu-scha — „że są ze siebie wzajemnie kontenci”. Inaczej ma się sprawa w przypadkach typologicznego przeciwieństwa „psa rezonansowego”, to jest takiego, którego określiłbym jako „psa uzupełniającego”. Nie, żeby stosunki między właścicielem a psem miały być mniej zadowalające czy „mniej serdeczne: przeciwnie, mogą być nawet lepsze, podobnie jak w przyjaźniach między ludźmi, gdy się partnerzy wzajemnie uzupełniają. Zdarza się jednak, że taki „uzupełniający” sto-

53

sunek jest niepomysłny. Widziałem niedawno coś takiego na ulicy. Błady pan, wąski w ramionach, z wyrazem twarzy zatroskanym i zgryźliwym, ubrany z wyświechtaną starannością, w stojącym kołnierzyku, w binoklach, słowem, w każdym calu urzędniczy-na i biurokrata, szedł z bardzo dużym, wyraźnie niedożywionym owczarkiem niemieckim, sunącym z wyrazem przygnębienia tuż przy jego nodze. Facet miał w ręku ciężką szpicrutę i kiedy nagle przystanął, a pies znalazł się przy tym o kilka centymetrów przed wyznaczoną przez tresurę linią, uderzył mocno i ostro grubym końcem batoga psa po nosie. Wyraz twarzy tego człowieka był w tym momencie pełen tak otchłannej nienawiści i rozdrażnienia, że z trudem się powstrzymałem od wszczęcia publicznej zwady. Założę się tysiąc przeciw jednemu, że ten nieszczęsny pies odgrywa wobec swego jeszcze nieszczęśliwszego pana dokładnie taką samą rolę, jaką odgrywa jego pan w biurze — wobec swego może równie pożałowania godnego szefa!

Sy i dzieci

4

Dzieciństwo spędziłem niestety bez psów.

Matka moja pochodziła mianowicie z epoki, gdy bakterie zostały właśnie odkryte, większość dzieci z zamożnych domów dostawała angielskiej choroby, bo ze strachu przed bakcylami wysterylizowywano na śmierć wszystkie witaminy z mleka.

Dopiero kiedy byłem już tak duży, że zaufano dostatecznie memu męskiemu słowu honoru, że nigdy nie dam się psu polizać, pozwolono mi na pierwszego w życiu psa. Niestety, ten okazał się absolutnym idiotą: był to mianowicie ów jamnik Kroki, o którym już opowiadałem. Nic dziwnego, że po tym pozbawionym charakteru psiaku wywietrzała mi na dłuższy czas tęsknota za psami.

Dzieci moje natomiast wznosiły w najserdeczniejszym koleżeństwie z psami. Widzę jeszcze, jak ku przerażeniu mojej biednej mamy maleńkie człowieczki raczkują na czworakach pod brzuchami wielkich owczarków — mieliśmy wówczas pięć sztuk. Kiedy syn uczył się chodzić, zwykł był trzymać się długiego ogona mojej Tito, ilekroć chciał zmienić czworonożny na dwunożny sposób poruszania się. Tito z miną cierpiętnicy stała wprawdzie spokojnie, lecz kiedy

55

chłopczyk znalazł się wreszcie w pozycji pionowej i puścił jej udręczony ogon, zaczynała z ulgą merdać nim tak mocno, że jej puszysta kita uderzała małego człowieczka w plecy albo po brzuchu z siłą, która sprawiała, że walił się znów na podłogę, jak piorunem rażony!

Subtelne, wrażliwe psy są urocze wobec dzieci swego ukochanego pana, bo dobrze wiedzą, jak mu na tych dzieciach zależy. Obawa, że pies mógłby dzieciom zrobić krzywdę, jest wręcz śmieszna; są natomiast powody do troski w odwrotnym sensie, że pies mianowicie za wiele dzieciom pozwala i tym sposobem rozwija w nich bezwzględność. Szczególnie gdy idzie o bardzo duże i dobroduszne psy, jak bernardyny czy nowofunlandy, trzeba pod tym względem zachować pewną ostrożność. Na ogół jednak psy doskonale umieją unikać zbytniej natarczywości i męczącego nadmiaru uwagi ze strony dzieci — i w tym właśnie kryje się wielka wartość pedagogiczna. Normalne dzieci znajdują zawsze upodobanie w psim towarzystwie, są zatem zasmucone, kiedy psy od nich uciekają. Tym sposobem małe

człowieczki uczą się niejako samodzielnie, jak należy się zachowywać, żeby pies uważał ich za pożądanego towarzysza. Dzieci, obdarzone bodaj w nieznacznej mierze wrodzonym taktem, potrafią więc od najwcześniej-

56

■ szego wieku mieć wzgląd na otoczenie: nader cenna ' zdobycz. Kiedy w obcym domu widzę, że pies nie ucieka przed pięcio- czy sześciolatnim synkiem, lecz zbliża się do niego serdecznie i bez żadnej obawy, moje uznanie dla synka, a wraz z nim dla całej tej rodziny znacznie wzrasta.

Trzeba jednak niestety stwierdzić, że wiejscy chłopcy z mojej własnej ojczyzny są stanowczo za brutalni w obęściu z psami. Nigdy nie zobaczy się u nas hordy małych chłopców w towarzystwie psa. Znam wprawdzie poszczególne wiejskie dzieci, które są zupełnie miłe wobec własnego psa, ale w większej gromadzie znajdzie się zawsze kilku brutali, którzy — i to jest najgorsze — stale zdobywają przewagę. W każdym razie przeciętny dolnoaustriacki pies wiejski ucieka na widok zbliżającej się przeciętnej gromady dolno-austriackich chłopców. Nie powinno tak być, i warto zaznaczyć, że nie wszędzie tak jest. Na Białorusi na przykład widzi się wciąż „mieszane sfory” dzieciaków i psów, latające po wsi, małe chłopaki, przeważnie linianowłose, pięcio- czy siedmioletnie, a z nimi — niezliczone kundły! Psy zupełnie nie boją się dzieci, okazują im całkowitą ufność. Z zaufania tego można wyciągnąć daleko idące wnioski na temat duchowych cech owych chłopców. To zapewne wielka więź z przyrodą pozwala dzieciom na taką delikatność wobec psów.

Najdziwniejszy stosunek między psem a dzieckiem, jaki zdarzyło mi się w życiu widzieć — sam byłem jeszcze wtedy dzieckiem — istniał między olbrzymim czarnym nowofunlandem a moim przyszłym szwagrem Piotrem. Pierwszy był psem domowym, drugi dzieckiem domowym na sąsiedzkim zamku Altenberg. Lord, tak się nazywał ten wspomniany już pies, był odważny do zuchwałości, wierny, dobroduszny i z charakterem. Piotr był jednym

57

z najniebezpieczniejszych łobuziaków w okolicy. I jego właśnie, jedenastoletniego wówczas, wybrał sobie potężny pies na pana, chociaż przybył na zamek już jako



dorośle zwierzę. Co pchnęło psa do tego, pozostaje dla mnie po dziś dzień nie wyjaśnione, bo psy o podobnych cechach przywiązują się raczej do mężczyzn, do głowy rodziny. Może skłoniły go rycerskie pobudki, jako że Piotr był najmłodszy i najsłabszy nie tylko z czterech braci, lecz i w ogóle spośród licznej gromady dzikusów — wielu chłopców i kilku dziewczynek — zagrażającej lasom nader realistycznymi zabawami w Indian połączonymi z wystrzeleniem wielkich ilości prawdziwego prochu. Bywał też często bity, jak zresztą my wszyscy w toku walki, chociaż Piotr, moim zdaniem najbardziej zasłużenie, częściej niż inni. Lord natomiast uważał, że to nie jest w porządku, i energicznie kładł temu kres. Nigdy broniąc swego małego pana nawet nie zadrasnął żadnego z nas, a cóż dopiero ugryzł. Ale spróbuj tu uderzyć chłopca, kiedy ci przy tym pies wielki jak lew i czarny jak dwunasta w nocy kładzie dwa ciężkie łapska na ramionach i podsuwa pod nos wyszczerzony szereg ogromnych śnieżnobiałych zębów! A do tego warczy głębokim, organowym huczeniem! Piotr wynagradzał psu tę ochronę gorącą miłością; byli nierozłączni. Utrudniało to znacznie wychowywanie Piotra, gdyż sam pan Niedermaier, bardzo energiczny korepetytor domowy, nie mógł się nawet odważyć podnieść głosu na Piotra. Natychmiast z jakiegoś kąta rozlegał się grzmot warczenia i czarny lew majestatycznie przysuwał się bliżej, na co pan Niedermaier wzruszał ramionami i odwracał się: no i zrób tu coś z takim!

Jestem uprzedzony do ludzi, nawet do małych dzieci, które boją się psów. Być może niesłusznie, bo można uważać za całkiem naturalną reakcję, że mały człowieczek jest zrazu zaniepokojony na widok takie-58

V

go większego drapieżcy. Ale stanowisko odwrotne: że bardzo lubię dzieci, które się psów nie boją i potrafią się z nimi obchodzić, tłumaczy się z pewnością tym, że obcowanie ze zwierzętami wymaga intymnego obycia z przyrodą. Moje dzieci już na długo przed ukończeniem roku były tak doskonale spoufalone z psami, że nigdy chyba żadnemu z nich nie przy-szłoby do głowy, iż pies może mu wyrządzić krzywdę. Dlatego właśnie moja córka Agnes, mając zaledwie sześć lat, bardzo mnie kiedyś przeraziła.

Agnes na moje polecenie poszła ze swym starszym o półtora roku bratem nad rzekę po żywy pokarm dla rybek. Kiedy dzieci wróciły, przyprowadziły ze sobą wielkiego i bardzo ładnego niemieckiego owczarka, który się do nich przyczepił. Pies, którego oceniałem na sześć lub siedem lat przynajmniej, co było, jakem się później dowiedział, słuszne, wywierał wrażenie trochę przygnębionego i jakby bojaźliwego. Mnie dał się pogłaskać raczej niechętnie, nie odstępował jednak dzieci, z jakimś niemal kurczowym oddaniem. Sprawa wydała mi się niesamowita, zwłaszcza że zwierzę wyglądało na trochę nienormalne. Zresztą — skąd by stary pies przystał nagle do dwojga dzieci? Potem znalazło się jednak wyjaśnienie. Pies pochodził z Langenlebern, wsi odległej o dziesięć kilo-

59

x,

■>

A

metrów w górę rzeki, i wystraszony strzelaniem z moździerzy z okazji odpustu, uciekł stamtąd, po czym, rzecz osobliwa, nie trafił do domu. Jego właściciel miał dwoje dzieci, w tym samym wieku i przypominających moje. Najwidoczniej pies, spotkawszy je nad rzeką, dlatego się właśnie do nich przyłączył. Ale tego wszystkiego nie wiedziałem jeszcze wtedy. Dzieci błagały mnie, aby — jeżeli się nie odnajdzie właściciel — wolno im było psa zatrzymać.

Powstała jednak dalsza komplikacja, bo Wolf I również lubił dzieci, choć we właściwy wilkopo-chodnemu psu luźny i nieobowiązujący sposób. Martwiło go jednak i złościło okropnie, że ów pełzający niewolnik, przekleły intruz, odbiera mu łaski jego małych państwa. Moje stanowcze, do obu psów skierowane, groźby zapobiegły na razie walce, w czym dopomogło mi niezbyt zaczepne usposobienie nowo przybyłego. Ale ten nabytek bynajmniej mnie nie cieszył. Toteż nie obeszło się bez przykrości. Właśnie w naszym najmniejszym pomieszczeniu oddawałem się spokojnemu zajęciu, kiedy przeraziły mnie odgłosy psiej walki i okropne, przeraźliwe krzyki o pomoc mojej małej Agnes. Nie podciągnąwszy nawet szatek, pognałem po schodach przed dom i ujrzałem tam zażarcie walczące, gryzące się psy,

a spod nich — wystawały nóżki mojej córki! Chwyciłem rękami psy za karki i rozerwałem je nadludzkim wysiłkiem, by uwolnić Agnes. Leżała na plecach i także każdą rączką trzymała jednego psa za sierść. Jak mi opowiedziała później, siedząc na ziemi pogłaskała obydwie psy jednocześnie, bo myślała, że uda jej się zwierzęta pogodzić. Naturalnie miało to przeciwny skutek, psy ponad dziewczynką skoczyły sobie do gardła. Agnes próbowała rozdzielić walczących i nie puściła ich nawet wtedy, kiedy przewróciły ją i deptały po niej.

60

Rady co do wyboru psa

Wybór jest, jak wiadomo, niełatwą rzeczą. Na którą z psich ras się zdecydować?

Przede wszystkim trzeba zdać sobie sprawę, czego oczekujemy od naszego zwierzęcia. Kiedy ktoś prosi o radę, można mu jej udzielić jedynie wówczas, jeśli się dobrze zna danego człowieka. Oto jaskrawy przykład: jakaś bardzo sentymentalna stara panna, szukająca obiektu dla swej wielkiej potrzeby lubienia i pielęgnowania, niewielką miałaby radość z powściągliwego sposobu bycia chow-chow, który nie wykazuje zrozumienia dla pogłaskań ani w ogóle kontaktów fizycznych i wracając do domu swoją panią wita jedynie pobłażliwym i dostojnym pomachaniem ogona, zamiast jak inne psy radośnie skakać na nią. Kto szuka sentymentalizmu, czułości w naturze psa, kto kocha takie psy, co położywszy łeb na kolanie pana, godzinami pogrążone w uwielbieniu, potrafią patrzeć na niego bursztynowym wiernym okiem — temu doradziłbym gordon setera lub którąś z podobnych długowłosych i kłapouchych ras. Dla mnie osobiście te sentymentalne psy są nazbyt smętne. My, nowocześni ludzie, z naszymi troskami i straszliwą groźbą broni atomowej, mamy niestety pod dostatkiem przyczyn do smutku. Stały kontakt ze stworzeniem przeto, które już z na-62

tury skłonne jest właśnie do takiego nastroju i które-  
go obecność w pokoju manifestuje się od czasu do ■ czasu łagodnym, lecz głębokim westchnieniem, nie jest dla wielu z nas przedmiotem pragnień. Waśnie wesoły lub smutny nastrój jednego z przyjaciół wy-Ł wiera silny wpływ na drugiego. Człowiek pogodnego i' usposobienia, pełen radości życia, stanowi nader re-i alne źródło energii i odwagi dla

swego otoczenia.

I tym samym może być także, o dziwo, wesoły pies. ' Sądzę, że wielka popularność, jaką cieszą się zdecydowanie komiczne psie rasy, wynika w lwiej części właśnie z potrzeby rozweselenia. Zniewalający ko-ś. mizm takiego na przykład sealyham-terriera, połą-b czony z wielką miłością ku panu, może być podporą | duchową człowieka skłonnego do smutnych nastro-jów. Któż by się nie uśmiechnął, kiedy taki stwór, try-I skający radością życia, na swoich o wiele za krótkich f, nóżkach, „wrostkach do chodzenia", jak je nazywa \*f pewna znajoma właścicielka sealyhama, przybiega ■ ' w podskokach i z nieskończenie głupio-przebiegłą " miną, przekrzywiając głowę, z pantoflem w zębach, e spogląda na swego pana wyczekująco i zaprasza go do zabawy?

? Kto szuka nie tylko serdecznego przyjaciela, lecz i także kawałka nie zafałszowanej przyrody, temu ra-, dziłbym zupełnie inny rodzaj psa. Z tej właśnie przy-' czyną wolę rasy, które niezbyt oddaliły się od stanu dzikiego. Moje mieszańce chow-chow, z owczarkiem na przykład, są w swych cechach, zarówno duchowych, jak fizycznych, nader zbliżone do swoich dzikich przodków. Im mniej zmienia psa domestyfikacja, im bardziej pozostał dzikim drapieżcą, tym wartościowsza i cudowniejsza wydaje mi się jego przyjaźń. Z podobnych pobudek nie lubię odbierać psu za pomocą tresury zbyt wiele z jego przyrodzonych skłonności. Nie chciałbym zatracić nawet tego V groźnego pociągu do łowów, zakorzenionego w mo-

63

ich psach, a jaki ma zawsze niemiłe konsekwencje. Gdyby były łagodne jak jagnięta, co i muchy nie skrzywdzą, zdawałoby mi się mniej cudowne, że mogę im beztrudnie powierzyć życie moich dzieci. Uświadomiłem to sobie na skutek pewnego przeżycia, obiektywnie strasznego... Otóż pewnej srogiej zimy przez zaśnieżony wysoko płot przedostała się do ogrodu sarna i została doszczętnie rozszarpana przez moje trzy psy. Kiedy stanąłem wstrząśnięty nad rozplatanym zewłokiem, dotarło do mojej świadomości, jak bezwarunkowym zaufaniem obdarzam zahamowania społeczne tych krwiożerczych bestii, bo przecież dzieci moje były Wówczas znacznie mniejsze i bardziej bezbronne niż ta sarna, której krwawe resztki leżały oto przede mną na

śniegu! Zdumiała mnie do głębi owa absolutna beztroska, z jaką powierzam dzień po dniu kruche ciała dziecięce straszliwym cęgom wilczego Uzębienia! Jakże często dzieci bawiły się latem w ogrodzie z psami, przez nikogo nie strzeżone! Ale — czy kto kiedy słyszał, by pies zrobił coś złego dzieciom swojego pana?

Oczywiście, gust jest sprawą sporną i przyznaję, że nie każdemu odpowiada dziki, drapieżny pies, jakiego ja lubię. Poza tym psy wilczej krwi nie są łatwe do hodowania na skutek swej wrażliwości, powściągli-

64

wości i pełnego charakteru życia wewnętrznego. Ten 'jedynie zyska w nich prawdziwego przyjaciela, kto (zna dobrze psy i zdoła w pełni wyzyskać nieprawdopodobne bogactwa ich duszy. Inni będą mieli wię-Rfeej przyjemności z gruboskórnego i rzetelnego p>oksera czy airedale terriera — z podobnych mianowicie przyczyn, z jakich początkujący fotograf osiąga ze rezultaty mniej skomplikowanym aparatem sli precyzyjnym, lecz skomplikowanym aparatem galnym.

Nie chcę przez to bynajmniej lekceważyć zalet stelnego" nieskomplikowanego psa; przeciwnie, rdzo lubię i boksery, i większe rasy terrierów, któ-i trudno by zepsuć nawet niezdolnemu wychowaw-, lubię je z tą ich radosną zamaszystością i ofiarnym wiązaniem. Trzeba też wyraźnie powiedzieć, że jdstawione tu rozważania na temat ogólnych i charakteru różnych ras mają również charakter Slnikowy i że zdarzają się najprzeróżniejsze wyjął-W gruncie rzeczy wszelkie takie uogólnienia są lie błędne jak na przykład opisanie „charakteru smca”, „charakteru Francuza”, „charakteru An-ł”. Znam na przykład ogromnie wrażliwe bokse-i całkowicie bez charakteru chow-chow, a nawet aego spaniela o bardzo niezależnym życiu ducho-i i wielkiej samodzielności. Moja błękitna Suzi na ład, u której szczególnie ostro wychodzą na jaw ziczne cechy owczarków, także zachowuje się ec przyjaciół rodziny miezmiernie miło, bynaj-ej nie tak wyniośle jak inne chow-chow. loże bardziej przydałoby się „nowicjuszowi w po-liu psa" doradzić, jakiego egzemplarza n i e po-sn wybierać, jakich cech swego przyszłego swego towarzysza ma się wystrzegać, niż udzie-|.tu pozytywnych wskazówek. Zanim jednak przejsdo tych ostrzeżeń, chciałbym nie

dopuścić do % aby moje wywody odstraszyły czytelnika od po-

65

siadania psów w ogóle! Otóż lepszy jest każdy pies niż żaden i jeżeli nawet kupujący pominie wszystkie wymienione tu reguły, to i tak czeka go radość z samego posiadania zwierzęcia! Będzie ona jednak większa, jeżeli czytelnik mnie usłucha. Pierwsza reguła brzmi: należy kupić wyłącznie zdrowego fizycznie i umysłowo psa! O ile nic nas nie zmusza do innego wyboru, trzeba z całego miotu wybrać najsilniejsze, najgrubsze i najzwagsze szczenię — trzy cechy, które występują z reguły razem. Suki są oczywiście już przeważnie w szczeniectwie drobniejsze i delikatniejsze od samców, co należy uwzględnić przy wyborze. Jeżeli zauważy się u rodziców czy potomstwa jakiegokolwiek oznaki degeneracji — co często się zdarza przy przerasowaniu — należy natychmiast poniechać kupna psa. Przede wszystkim zalecam ostrożność wobec ras zagranicznych, które u nas, w środkowej Europie, występują stosunkowo nielicznie i dlatego są przeważnie hodowane w pokrewieństwie. Lepiej mieć psa z mniejszym rodowodem (który i tak leży przecież tylko w domu, w szufladzie, o ile się nie jest hodowcą), ale za to ży-wotniejszego i mniej wymagającego starań! Jak jeszcze powiem o tym w rozdziale Oskarżam hodowców, jestem tak bardzo przeciwny zawodowym hodowcom, dla których sprawa psiej urody znaczy zawsze o wiele za dużo, a zalety duchowe o wiele za mało, że chciałbym doradzić tu herezję: niech początkujący, co ma jeszcze słabe pojęcie o psiej duszy, nigdy nie kupuje psa z długim rodowodem. Aby wyrazić to brutalnie i krańcowo: w przypadku kundla będzie nierównie mniejsza szansa nabycia psa nerwowego, zwariowanego, wypaczonego duchowo niż ośmiokrotnego potomka championów. Jeżeli się chce owczarka niemieckiego, trzeba udać się koniecznie do hodowli psów użytkowych tej rasy. Tu przy-66

iniej dowód pochodzenia od championów i zwy-5w ma jakiś sens, zastosowanie.

t\*Przed nabyciem psa należy się dobrze zastanowić, dalece można ufać własnym nerwom. Nadmier-żywe psy, jak ostrowłose foksterriery, mogą się we znaki człowiekowi nawet nienerwowemu, za że—jak to często bywa w przerasowanych iach — są w nieustannym ruchu, i to nie przez zonę wesołość, ale wyłącznie z

nerwowości. Tak-t kiedy się wybiera rozmiar psa w stosunku kubatury mieszkania, domu czy przestrzeni ogrodu, trzeba brać pod uwagę żywość zwierzę-  
Sentymentalny łagodny seter, dla którego naj-szcześnie jest wpatrywanie się w pana, jej cierpi w ciasnocie miejskiego mieszkania niż zwinny jak żywe srebro terrier. Jeżeli ma się i,, by zapewnić swemu zwierzęciu dosyć ruchu, wczas ograniczenie w najmniejszym bodaj miej-i mieszkaniu nie jest powodem, by wyrzec się na-  
większego psa. Obowiązek zapewnienia psom !lu zmusza człowieka do tego, co powinien czynić ateresie własnego zdrowia: dwa razy dzien- {spacerować po pół godziny na świeżym powietrzu.

jesto popełnianym błędem ze strony osób lubią-zwierzę, lecz mało je rozumiejących, bywa ku-psa właśnie ze względu na to, że ten już przy i spotkaniu zachowuje się serdecznie i pou-Rzeczywiście, kiedy proponują kilka, a do tego równowartościowych młodych piesków, ma

67

się zwykle pokusę, by wybrać tego, który umiał nas wzruszyć przyjaznym przyjęciem. Zapominamy jednak, że wybieramy wówczas największego „lizusa” spośród tych zwierząt i że później wcale nie będziemy uradowani, kiedy pies, machając ogonem, pobiegnie do każdego nieznanego. Kiedy wyszukałem sobie moją Suzi spomiędzy dziewięciorga chow-chow jednego miotu, wybrałem ją także i dlatego, że z dziewięciu wściekle na mnie ujadających śmiesznych futrzanych kulek była tą, w której szczekaniu brzmiało zarazem najwięcej warczenia i która najzjadlej broniła się przede mną, obcym, kiedy chciałem jej dotknąć. Ow „carattere calfacteristico”, jaki przypisuje Nestroy w swym zabawnym liście gończym w Lumpaciwgabundus wszystkim „Mopperln”, czyli mopsikom, jest istotnie jedną z najgorszych wad, jakie może mieć pies. Zresztą wedle mego doświadczenia Nestroy wyrządza krzywdę mopsom: jedyny pies tej niemal wymarłej dziś rasy, jakiego znam, jest bardzo porządnym i wiernym zwierzęciem, broniącym zajadle swej pani przed atakami na niby. Jak już wspomniałem, omawiany tu brak charakteru bierze się z zachowanej do późna nie różnicującej serdeczności i uległości, jaką bardzo młode psy okazują wszystkim ludziom oraz wszystkim dorosłym psom. Ten infantylizm

stanowi zatem wadę jedynie u psów dorosłych, u zwierząt młodych natomiast jest najzupełniej normalny i nie zasługuje na nagane.

68

P\

i

Dla kupującego wynika stąd kłopotliwa okoliczność, że po rozbawionym szczeniaku nie poznać, pozostanie „lizusem”, czy też w miarę dojrzewała nabierze niezbędnej wobec obcych powściągliwości. Dlatego poleciłbym: psy tych ras, u których to anowanie później się rozwija, kupować dopiero wieku pięciu-sześciu miesięcy. Dotyczy to zwłaszcza spanieli i innych psów kłapouchych, natomiast na /kład chowchow są pod tym względem dojrzałe rdzo wcześniej, bo już mając osiem czy dziewięć odni wykazują wyraźne różnice charakteru. We stkich jednak przypadkach, w których można ICzystym sumieniem wyłączyć obawę „carattere cal-teristico” czy dlatego, że dana rasa jest do tego kłonna, czy też, że zna się dobrze rodziców, radzę demu kupić psa jak najwcześniej! Jak najwcześ-tj oznacza tu: kiedy można psa bez szkody dla go odłączyć od matki. Dla małych, szybciej dojrze-jcych psów wyznaczyłbym tę granicę na osiem, większych — na dwanaście tygodni. Ponieważ bardzo młody jest czymś niesłychanie uroczym, 'e obdarzeni silnym instynktem opiekuńczym, ja sam zresztą, mają nieprzpartą pokusę zabra-sobie psiego dziecięcia jak najwcześniej. Uciecha chowywania go jest wprawdzie bardzo duża, ale 'ej nieuchronnie płaci się za nią smutnym rdzeniem, że własny pies wyrósł na znacznie " j dorodny i tryskający zdrowiem okaz niż jego ństwo, które początkowo nie było wcale silniej-ale dłużej miało dostęp do źródła siły, jakim jest

69

mleko matki. Ostrzeżenie jest tu tym bardziej na miejscu, że hodowcy — w interesie suki oraz pozostającej na razie przy niej reszty szceniąt — zależy oczywiście na pozbyciu się co rychlej paru małych. Jeżeli z jakichkolwiek przemożnych przyczyn bierze się jednak psa bardzo wcześniej, wówczas nie wolno w żadnym wypadku skąpić naprawdę wartościowego pokarmu, przede wszystkim mleka i mięsa; trzeba



się również zatroszczyć o dostateczne podawanie wapna i leków przeciw krzywicy. W ogóle żywieniu młodego psa trzeba poświęcić więcej uwagi, niż się to na ogół czyni. Zwłaszcza psy większych ras muszą mieć obfitość mięsa, jeżeli mają wyrosnąć na nieskazitelne okazy. Szeroko rozpowszechnione mniemanie, jakoby kuchenne resztki miały starczyć, zupa zaś stanowi pożywne jedzenie dla psa, jest grubym błędem. Dlatego w prywatnych rękach tak rzadko można zobaczyć doga, bernardyna czy nowofunlanda, który by nie nosił śladów — dostrzegalnych dla wprawnego oka — świadczących

0 niedożywieniu w młodości.

Ostrzeżenia nasze nie powinny jednak absolutnie odstraszać od samodzielnego wyhodowania psa, zaczętego możliwie wcześnie. Nie tylko zwierzę będzie przez to bardziej przywiązane do swego pana, lecz

1 jego miłość do psa będzie nierównie większa, kiedy spojrzawszy na śliczne dorosłe zwierzę wspomni sobie, ile trudów go kosztowało. Takie wspomnienia są przecież warte pary pogryzionych pantofli i kilku plam na posadzce!

Na zakończenie jeszcze dobra rada, która wyraża mój osobisty gust, dlatego można ją przyjąć lub odrzucić. Proszę sobie w miarę możliwości kupić suczkę. Oczywiście dwa razy na rok sprawia ona w okresie ciecarki trochę kłopotu; no i — prawie niezawodnie — jeśli nie ma w domu samca tej samej rasy, wcześniej czy później zdarza się jej miot niera-70

ch szczeniąt, dla których, o ile nie chce się ich dzieć, trudno znaleźć stosowne miejsce. Ale każdy ca psów potwierdzi, że wszyscy mający psy będą leli suczki dla ich zalet duchowych. Niegdyś w Al-bergu mieszkały w naszym domu cztery suczki: oja owczarka Tito, chow-chow mojej żony, jamni-i Kathi mego brata i buldożka, należąca do mojej ■agierki. Jedynie mój ojciec miał psa samca, który iał natrudzić się nie lada, by trzymać wciąż nie-ianych zalotników z dala od naszego ogrodu, ego razu dwie suczki naraz, mianowicie chow-ow i Pygi I oraz jamniczka, dostały ciecarki. Ponie-nie obawiano się o żadną, że może ją pokryć nie-|dany partner, bo Pygi I była naszymu samcowi w-chow Bubi bezwarunkowo wierna, dla malut-zaś, karłowatej jamniczki nie było jak okiem ąc partnera, mogliśmy wziąć je z sobą nad Du-j. Byłem

wprawdzie przyzwyczajony do tego, że to-szyły nam zazwyczaj obce psy, ale kiedyśmy ego dnia mieli za sobą drogę przez wieś, mnogość

S

71

towarzyszącej nam sfory zwróciła jednak w końcu moją uwagę. Przeliczyłem ją: oprócz-naszych pięciu psów biegło z nami jeszcze szesnaście psów, towarzyszyło nam więc słownie: dwadzieścia jeden psów!

Mimo to trwam przy swojej radzie: suka jest znacznie wierniejsza od psa, jej przeżycia duchowe znacznie bardziej skomplikowane, bogatsze i delikatniejsze; inteligencją również w większości przypadków przewyższa równego jej poza tym samca. Pochlebiam sobie, że dobrze znam sporo zwierząt, twierdzą więc z całym przekonaniem: z wyjątkiem istot ludzkich, tym stworzeniem, którego życie duchowe w dziedzinie współistnienia z otoczeniem, subtelność uczuć i zdolności do prawdziwej przyjaźni najbliższe jest człowiekowi, a zatem w ludzkim sensie tego słowa: najszlachetniejszym ze stworzeń — jest pełnowartościowa suka. Jakie to dziwne, że Anglicy uczynili jej nazwę jednym z najobelżywszych wyrazów! rżam hodowców!

d psów, które wykonują w cyrkach szczególnie sztuki, wymagające wielkiej pojętności, rzad-rzeć można psa rasowego. Nie dlatego, że kun-tańszy — bo za utalentowane psy cyrkowe się fantastyczne sumy — ale dla zalet ducha, decydują w „psim artyście”. Oprócz większej neji i zdolności uczenia się, przede wszystkim „nerwowość” psa, a większa wytrzymałość umożliwia wyższe osiągnięcia w procesie , Nie jest więc dziełem przypadku, że najpięk-opis psiej duszy, Pan i pies Tomasza Manna, e o mieszańcu — z wyżłem. t tylko z moich psów był naprawdę czystej ra- wał się na wystawę: owczarek imieniem Bin-”ł z pewnością szlachetnym stworzeniem, m bez trwogi i zmazy, ale jakże dalekim od lości odczuwania, od złożoności przeżyć we-yeh mojej bezrodowodowej, łąkowej i leśnej ki Tito. Mój buldożek francuski miał wpraw-owód, lecz był „towarem wybrakowanym”: za duży, czaszka i nogi za długie, plecy zbyt mimo to pewien jestem, iż żaden medalista nie dorównałby zaletom duchowym mego ~o.

«»OWH\*..

73

Smutne to, ale niezaprzeczalne, że ostry dobór hodowlany pod kątem charakterystycznych cech fizycznych nie da się pogodzić z rozwojem cech duchowych. Jednostki odpowiadające wszechstronnie obu tym aspektom są nazbyt rzadkie, aby wyzyskać je było można jako jedyną podstawę do dalszej hodowli. Tak jak nie znam uczonego naprawdę wielkiego, który by był zarazem podobny do Apollina (w sensie fizycznym), albo kobiety idealnie pięknej, obdarzonej bodajby znośną inteligencją, tak też nie znam i championa żadnej psiej rasy, którego chciałbym mieć na własność. Nie, żeby obydwa ideały wykluczały się wzajem całkowicie... bo przecież nie wiadomo, czy pies, niezwykle piękny jako okaz rasy, nie mógłby odznaczać się równie pięknym obliczem duchowym — lecz już każdy z tych ideałów jest dostatecznie rzadki, kiedy spotkanie się obu w jednym osobniku jest wysoce nieprawdopodobne.

Nawet jeżeli hodowca psów podejmie się najsurowszego doboru wedle obydwu tych kryteriów, nie poradzi sobie w praktyce bez kompromisu. Próbowano zatem, jak to się czyni z gołębiami pocztowymi, oddzielić hodowlę „pokazową” od „użytkowej”. Osiągnięto też to, że gołębie „pokazowe” i „użytkowe” stały się rzeczywiście dwiema odmiennymi rasami. Owczarek niemiecki znajduje się chyba także na najlepszej drodze do podobnego „rozgałęzienia”.

W dawniejszych czasach, kiedy pies był jeszcze

74

I

eznej mierze zwierzęciem użytkowym, moda rała mizerniejszą niż obecnie rolę, nie ist-jeszcze niebezpieczeństwo, że w doborze psów owych pominie się zalety duchowe. Jednak na-w hodowli nastawionej wyłącznie na cechy użyt-mogą wystąpić defekty psychiczne. Jeden na d z bardzo przeze mnie szanowanych znaw-stwierdza, że brak wierności u niektórych psów /eh tym się właśnie tłumaczy. Niewątpliwie ra-selekcjonuje się przede wszystkim ze względu obienie szczególnie ostrego węchu. Możliwe 'a, że i w tym kierunku hodowla szła umyślnie: 'wanie postrzałków

niesportowi myśliwi, "e nadleśniczowie zostawiają niejednokrotnie pomocnikowi; należało zatem do „użyteczności” rego psa gończego, aby przy każdym innym czło-i pracował tak, jak przy swoim własnym panu. pełnie źle jednak dziać się zaczyna, gdy moda, hmcna tyranka i najgłupsza ze wszystkich głu-kobiet, waży się dyktować biednemu psu, jak po-n wyglądać. Nie ma ani jednej psiej rasy, której tne'pierwotnie właściwości duchowe nie zmar-Ly doszczętnie, jak tylko przyjdzie na nie „wiel- W przypadku gdyby w jakimś zacisznym i świata owe psy istniały nadal i były hodowa-zwierzęta użytkowe, nie tknięte prądem można by tej zagłady uniknąć. Dziś jeszcze, na 4,.żyją w swojej ojczyźnie pokolenia szkoc-

75

kich owczarków, w których przetrwały pierwotne cudowne charaktery tej rasy, hodowane zaś w początkach naszego stulecia w środkowej Europie, jako „modne psy”, szlachetne collie poddane zostały nieprawdopodobnemu wprost procesowi ogłupiania i pogarszania charakteru. Jeżeli nie zapewni się jakiejś wchodzącej w modę rasie hodowli użytkowej, przez udzielenie poparcia, los jej jest przypieczętowany. Nawet tacy hodowcy, którzy — z gruntu rzetelni — umarliby raczej, niż dopuścili czy zataili jakiegoś niedoskonałego bodajby w jednej tysięcznej przodka, nie uważają bynajmniej za nieetyczne wyhodowanie psa przepięknego fizycznie, lecz wypaczonego duchowo.

Czytelniku, znawco zwierząt, dla którego piszę tę książkę! Wierzaj mi: radość, że twój pies odpowiada niemal ideałowi swojej rasy, stępi się w długoletnim z nim obcowaniu, pozostanie natomiast niechęć wobec usterek psychicznych, jak nerwowość, odruch cofania się i nadmierna bojaźliwość, gdyż z biegiem czasu nie znieczulamy się, lecz silniej uczulamy na podobnie dokuczliwe wady. Inteligentny, wierny, nienerwowy i rezolutny pies daje na dłuższą metę z pewnością więcej uciechy aniżeli champion, który kosztował mnóstwo tysięcy szylingów!

Jako się rzekło, kompromis między doborem hodowlanym na rozwój zalet duchowych a doborem hodowlanym na rozwój cech fizycznych jest w zasadzie możliwy. Bo dopóki moda nie weźmie się do

76

, dopóty przeróżne czysto hodowane psie rasy ztracą przecież swych zalet charakteru. Niebezpieczeństwo istnieje jednak już w samej organizacji w i komisji sędziowskich: konkurencja raso-zwierząt na wystawie musi bowiem — by tak — automatycznie prowadzić do przesadnego nutowania typowych cech danej rasy. Oglądając ją historyczne, które — jeśli idzie o angielskie psów — sięgają wczesnego średniowiecza, i porównując te psy z dzisiejszymi przedstawicielami tej rasy, odnosimy wrażenie, że są to złośliwe katury pierwotnego kształtu danego psiego gatunku. Wyraźnie widać to w chow-chow, które dopiero ostatnich dziesiątków lat weszły w modę. Jeźdźcy w latach dwudziestych były one wyraźnie ' formy pierwotnej: ostro nos, skośnie ustawione  
okulskie oczy i ostre, sterczące uszy nadawały im zwykły uroczy wyraz, wspólny wszystkim rasom, jak grenlandzkie psy zaprzęgowe, dy, husky, szkockie terriery. Dziś chow-chow 'owany na wyakcentowanie tych cech, które jego charakterystyczną niedźwiadkowatość: ł się szeroki i krótki, niemal jak u doga, oczy

na skutek stłoczenia twarzy ztraciły swą skośność uszy nikną w wybujałym przepychu futra. Także pod względem duchowym zrobiono z pełnego temperamentu drapieżcy, przenikniętego jeszcze tchnieniem puszczy, cukierkowatego misia — z wyjątkiem psów mojej hodowli! Ale te muszą być w pogardzie u wszystkich związków kynologicznych, bo mają w sobie jeszcze po dziś dzień owe kilka sto dwudziestych ósmych części krwi owczarka.

Inna psia rasa, którą ogromnie lubię, a której upadek duchowy opłakuję — to szkockie terriery. Również trzydzieści pięć lat temu, kiedy moja szkocka terrierka Ali chodziła za mną, psy tej rasy były niemal bez wyjątku wzorami odwagi i wierności. Żaden z moich późniejszych psów tak mnie wściekle nie bronił jak Ali i żaden nie musiał tak często być ratowany w walkach z wielokrotnie przewyższającymi go siłą przeciwnikami. Ale też nie musiałem przed żadnym z nich tak często ratować kota, i wreszcie, prócz Ali, ani jeden nie wlażył za kotem na drzewo! Przeżyłem mianowicie rzecz następującą: Ali goniła kota. Aby się ratować, kot wspinał się na pierwsze odgałęzienie konaru drzewka śliwy. W mgnieniu oka musiał jednak skoczyć półtora

metra wyżej na inną gałąź, gdyż Ali w szalonym susie dosięgła korony drzewka i tam znalazła oparcie dla łap. Po paru sekundach kot musiał wspiać się wyżej, bo Ali i tam się dostała. Wprawdzie walczyła już teraz o punkt zaczepienia, bo gałęzie były coraz cieńsze. Nie spadła zresztą dlatego, że udało się jej zacisnąć gałąź między udem a brzuchem w okolicy pachwiny. Przez chwilę wisiała głową na dół, znów złapała równowagę, nie przerywając wściekłego ujadania na kota, który siedział o metr wyżej w gałęziach, ledwie mogących go unieść. I oto stała się rzecz niewiarygodna: wszystkie mięśnie sprężystego ciała Ali napięły się do skoku, porwała się wzwyż do kota, chwyciła go w zęby, przez

78

ent wisiała na nim, czepiającym się rozpaczliwie ', po czym obydwie zwierzęta runęły z trzynie-jej wysokości, i tu musiałem pospieszyć na pokot, bo Ali mimo uderzenia podczas upadku ■ypuściła go. Kotu nic się nie stało, lecz Ali kula-godniami, naderwawszy sobie mięśnie podczas lia — bo w przeciwieństwie do kotów psy nie ją zawsze zręcznie na cztery łapy.

akie to były „scotties” przed trzydziestu pięciu Prawie wszystkie takie były, Ali przynajmniej tanowiła wyjątku. A dziś? Martwię się i troskam, spotykając psy w naszym lubiącym je i posiada-ich mnóstwo Wiedniu widzę, jak się obecnie

79

zachowują przedstawiciele tej rasy. Z pewnością moja rozczochrana Ali z uchem ściągniętym blizną na bok nie miałyby żadnych szans w porównaniu z pięknie trynowaną ślicznotką na pokazie psów; ale te stają już w kornej postawie przed takimi psami, co z głośnym płaczem uciekały przed moją Ali.

Jeszcze jest czas. Jeszcze i u nas, w Europie Środkowej, bywają „scotties”, które nie ulęką się bernardyna, a najsilniejszego człowieka zaatakują w sposób wysoce „przenikliwy” od nóg, jeżeli pozwoli sobie bodaj na słowo groźby wobec ich pana. Ale takie szkockie terriery są rzadkie, a w każdym razie próżno by ich szukać pośród zwyczajców na wystawie psów.

Pytam więc teraz hodowców, co do których można chyba przypuszczać, że się na psach znają: czy nie byłoby lepiej wyhodować od czasu do czasu takiego dzielnego,

ostrego i wiernego psa, nawet gdyby przy obliczaniu punktów za doskonałość proporcji wypadł gorzej niż wszystkie te pięknokształtne triumfy rasowego pielęgnowania zarostu?

łszywy kot — kłamiący pies

'j

\*\* • «. i

\ głupstw, które przeszły w przysłowie, a z którymi remnie walczy wiedza, należy pogląd, że koty są vt. Niejasne jest dla mnie, skąd się to wzięło. Łmożliwe chyba, żeby przyczyniła się do tego me-i kocich łowów, ciche podchodzenie zdobyczy, bo ' i tygrys polują w ten sam sposób. Kot natomiast łą zarzutu krwiożerczości, chociaż, jak tamci aieży, również zagryza swą zdobycz. Nie znam l'jednego iysu właściwego kotom, który bodaj Przybliżeniu, aczkolwiek niesprawiedliwie dałoby g-pazwać „falszywym”. Mało jest zwierząt, z któ-g, twarzy znawca wyczyta tak jednoznacznie każdy Jtny nastrój jak z twarzy kota. Człowiek zawsze jr\* czym ma do czynienia: jakiego postępu może wać w najbliższej chwili. Jakże nieomylnie zro-r jest wyraz ufnej uprzejmości, kiedy twarz — idzona — zwraca się ku widzowi, uszy sterczą to, oczy rozwarłe; jak bezpośrednio wyraża się ' nagły bodziec — trwoga czy wrogość — w sta-paapięcia muskulatury mimicznej! Rysunek pręg morągowatego kota czyni te lekkie poru-; skóry szczególnie wyrazistymi i pomnaża bo-(możliwości mimicznych: jedna z przyczyn, dla t wolę morągowate od wszystkich innych. Le-i 81 ciutkie tchnienie nieufności — jeszcze bynajmniej nie strachu — a już niewinnie okrągłe oczy nieco się wydłużają, stają się skośne, uszy zatracają pionowość i „przychylność”, i nie potrzeba wcale subtelnej zmiany w postawie tułowia ani leciutko poruszającego się koniuszka ogona, by wyraziła się jasno zmiana nastroju. A jak wyraziste dopiero są pogrożki kota, jak się całkowicie różnią jedna od drugiej zależnie od tego, kogo dotyczą: czy zaprzyjaźnionego człowieka, który „za wiele sobie pozwala”, czy prawdziwego wroga, którego trzeba się obawiać. Różne są też zależnie od tego, czy groźba jest w obronie własnej, czy też kot czuje swą przewagę nad przeciwnikiem i zapowiada atak. Albowiem czyni to zawsze. Pomijając

nieodpowiedzialnych i zwariowanych psychopatów, jacy zdarzają się wśród przerasowanych kotów, tak samo jak wśród przerasowanych psów, kot nigdy nie drapie ani nie gryzie, zanim poważnie i wyraźnie nie ostrzeże wroga; nasilające się stopniowo gesty groźby mają przeważnie tuż przed atakiem moment kulminacyjny, oznaczający niejako ultimatum: „Jeżeli natychmiast nie przestaniesz, będę niestety zmuszony zastosować represje!”

Psu czy innemu dużemu niebezpiecznemu napastnikowi kot grozi wyginając się w swój słynny kabłak, który wraz z nastroszonym na grzbiecie i ogonie futerkiem (przy czym ogon sterczy nieco ukośnie) sprawia, że kot wydaje się przeciwnikowi większy niż jest w istocie, zwłaszcza że ustawia się trochę bokiem do przeciwnika, co przypomina postawę „imponującą” niektórych ryb. Uszy leżą płasko, kąty ust są rozciągnięte, nós zmarszczony. Cichy, lecz mający w sobie niezwykle groźną jęklivość, metaliczny pomruk dobywa się z piersi kota i narastając zmienia się czasem, czemu towarzyszy marszczenie nosa, w sławetne „prychanie”, to znaczy — w urywane fuczenie, przy 82

5ixn paszcza jest szeroko otwarta i kły obnażone.

siwie groźna ta pantomima pomyślana jest bez [tpienia jako samoobrona; obserwuje się ją zęściej wtedy, kiedy kot znajdzie się n i e s p o -; i e w a n i e — a więc nim zdąży umknąć — na-dużego psa. Jeżeli jednak pies mimo zeżenia podejdzie jeszcze bliżej, kot nie ucieka, ko po przekroczeniu pewnej określonej „granicy ycznej” rzuca się psu prosto w twarz i obrabia zę-i pazurami najwrażliwsze miejsca, na przykład i nos przeciwnika. Jeżeli wróg cofnie się bodaj moment, kot wykorzystuje tę minimalną szansę awsze zmyka. Krótki atak jest tedy jedynie środ-sm ucieczki.

jednym tylko wypadku kot może a t a k o -; ć dalej, wygięty w kabłak: mianowicie wtedy, kie-kotka sądzi, że pies zagraża jej młodym. Wówczas ! na spotkanie wroga nawet z większej odległości, iieważ zachowuje wygiętą postawę i obraca się dem, porusza się bardzo dziwacznie: galopuje na »s od własnej osi w kierunku wroga. Nie obserwo-;m takiej postawy u dorosłych kocurów poza b a w a, zresztą kot nigdy nie jest w takiej sytuacji, ausiał atakować w ten sposób silniejszego od sie-nieprzyjaciela. Natomiast u karmiących kotek z postawy ukośnej oznacza zawsze bezwarun-ve i



całkowite samozaparcie. W tym stanie

83

najłagodniejsza koteczka jest prawie niezwyciężona! Widywałem wielkie psy, osławionych morderców kotów, jak kapitulowały i uciekały. Ernest Seton Thompson opisuje plastycznie zachwycające i niewątpliwie prawdziwe zdarzenie: w parku Yellowstone kotka zmusiła do ucieczki niedźwiedzia i goniła go dopóty, aż ze strachu wlaźł na drzewo!

Inaczej znowu, i tym razem pokrewne gestom pokory, przedstawiają się groźby kota, któremu zanadto dokuczył człowiek zaprzyjaźniony. Ten rodzaj hamowanych i przeplatanych pokornymi gestami błagania o łaskę kocich gróźb można obserwować nieraz na wystawach kotów, gdzie zwierzęta w nieznanym otoczeniu muszą pozwalać, by dotykali ich nieznajomi ludzie, na przykład jurorzy. Jeżeli kot w takich okolicznościach poczuje trwogę, kuli się, jego tułów coraz bardziej się zniża, aż dotknie podściółki. Uszy są groźnie przypłaszczone, ogon w rozdrażnieniu bije tam i z powrotem, a przy silniejszym podnieceniu kot zaczyna nieraz swój warkot. W takiej sytuacji szuka zawsze osłony dla pleców: błyskawicznie chowa się za szafę, do kominka czy za kaloryfer. W braku podobnego schronienia przynajmniej przyciska się do ściany, i to tak, że obrócony ku niej plecami, leży przechylony bokiem. Ta postawa daje się zauważyć nawet wówczas, kiedy kot musi w swej niedoli zasiadać na stole przed gremium sędziowskim. Postawa taka zwiastuje groźną gotowość do zadania ciosu przednią łapą. Im większy jest strach zwierzęcia, tym bardziej uchyla się ono na bok, aż wreszcie podnosi jak do uderzenia łapę z wysuniętymi pazurami. W miarę narastania trwogi ten sam sposób reagowania doprowadza do ostatecznej, rozpaczliwej próby samoobrony, jaką kot ma do dyspozycji: przewraca się na grzbiet i wszystkie swój oręż wysuwa ku gnębi-cielom. Nawet znawca kotów poczuje zdumienie, wi-

84

\ jak swobodnie sędziowie dotykają kota, który "wysuniętą łapę, szeroko otwartą paszczę i śpiewa -ją narastającą i cichnącą pieśń wojenną. Chociaż w tym momencie powiada niedwuznacznie: „Nie j mnie, bo będę gryzł i drapał", to jednak w de-ującej

chwili nie czyni tego lub czyni z zahamowa-i lekko. Nawet w takich opałach bowiem ją jeszcze nabyte hamulce oswojonego, „grze-go” tygrysa! Otóż więc kot nie udaje zrazu życz-e~i, by potem zniecka pogryźć i podrapać, ale 2a, aby ujść nieznośnym z jego punktu widzenia ładowaniom jurorów, lecz nie zdobywa się jed—e na wprowadzenie swej groźby w czyn. Tak się izeczy mają z owym „fałszywym” kotem! ~ie chciałbym wcale poczytywać kotom za zasługę ć, że nie umieją udawać.

Owszem, cenię — jako ód wyższej inteligencji — u psa, że właśnie to po-! Można przytoczyć tu kilka obserwacji, ój stary Bully był bardzo wrażliwy na to, gdy się promitował". Mądre psy niewątpliwie dobrze a, kiedy zdarzy im się odegrać żalną czy w lu-'m pojęciu komiczną rolę. Wiele z nich wpada Straszliwą złość lub w najgłębsze przygnębienie, dy się z nich śmieją. Bully był już stary, i wzrok Lcznie mu się popsuł, na skutek czego mogło się raz zdarzyć, że przez omyłkę oszczekał mnie lub ós z wracających do domu członków rodziny, jwyrażniej przyjmował to jako ciężką kompromi-"ę i był nawet wówczas ogromnie zmieszany, kiedy rJctownie tę jego omyłkę przemilczałem. Pewnego . jednak zrobił w podobnej sytuacji rzecz niezwy-którą początkowo uznałem za przypadek, . iej jednak musiałem dostrzec w tym bardzo wy-" wyczyn inteligencji: mianowicie — celowe zafał-anie faktów. szedłem właśnie we wrota dziedzińca i zanim je ' lem zamknąć, pies rzucił się ku mnie z głośnym

85

szczekaniem. Wtem poznał mnie, osłupiał, przez mgnienie był zakłopotany, zaczął znów szczekać, przebiegł koło mnie, pognał przez wrota na drogę, naprzeciw pod mur sąsiada, gdzie dalej wściekle ujadał, jak gdyby miał od początku taki „zamiar". Wtedy uwierzyłem mu jeszcze i wziąłem moment zakłopotania za swoją omyłkę w obserwacji. Bo za tamtą bramą mieszkał istotnie pies nieprzyjaciel, do którego mógłby się odnosić atak ujadania mego Bully'ego. Tymczasem niemal codzienne powtarzanie się tego upewniło mnie, że psu rzeczywiście potrzebny był jakiś „wykręt", aby zawoalować fakt, że oszcze-kuje własnego pana. Wprawdzie chwile speszenia, kiedy Bully stawał zdumiony, były coraz krótsze, kłamał bowiem, by tak rzec, coraz płynniej, a więc pod tym względem bardziej wiarygodnie, ale zdarzało

się, że trafiał niekiedy na miejsce, gdzie nie było nic do oszczekiwania, na przykład w pusty kąt dziedzińca. Stał tam i dalej ujadł z wściekłością — prosto w mur. Można by wyjaśnić opisane zachowanie się prościej — bodźcami fizycznymi. Ale, jak widać, było to prawdziwe rozumowanie, skoro Bully nauczył się używać swego wybiegu do całkiem innego oszustwa.

Jak wszystkim naszym psom, nie było wolno i jemu gonić naszego różnorodnego ptactwa. Gniewało go jednak, kiedy kury grzebały mu w misce, zajmując się resztkami jego posiłków. Jednak i wtedy nie śmiał ich przepędzać, a raczej — nie śmiał się przyznać, że to czyni. Rzuczał się, szczekając ze złością, między kurzy ludek, który rozbiegał się z gdakaniem; ale zamiast dogonić którąś, albo chociaż kłapnąć zębami, pędził ze szczekaniem dalej w tym samym kierunku. Również wtedy lądował czasem w miejscu, gdzie nie było absolutnie nic do oszczekiwania. Bo chytróść jego nie sięgała tak daleko, aby wyszukać sobie zawczasu 86

mądrą przezornością jakiś obiekt ataku znajdujący ę za kurami i prawdopodobny. Inne były oszustwa mojej suczki Stasi. Jak wiadomo, niektóre psy są nie tylko płaczliwe, ale i bardzo tnie widzą współczucie. Jeżeli skorzystają na tym, a się niezmiernie szybko nastrajać w tym duchu DÓłączającego człowieka. Podczas dłuższej wycieczki rowerowej Stasi lekka nadwerżyła sobie ścięgno lewej przedniej łapie. Ponieważ mocno utykała, siałem przez kilka dni chodzić pieszo, zamiast dzić na rowerze. Także później oszczędzałem Stasi alniałem, gdy tylko zauważyłem, że jest zmęczo-lub zaczyna kuleć. Chytra bestia przejrzała to na-hmiast. Niebawem zaczęła kuleć, ilekroć jechałem niemiłym jej kierunku. Kiedy jechałem ze swej tery do lazaretu zapasowego czy ambulansu ego szpitala, gdzie musiała godzinami pilnować go roweru w miejscu, którego nie lubiła, zaczyna kuleć tak żałośnie, że publicznie, na drodze, niono mi wymówki! Kiedy zaś jechałem do ujeż-'ni wojskowej, gdzie nęciła zielona łąka, ciernie Stasi znikało. Najbardziej przejryste było ak jej oszustwo w soboty. Z rana, a więc na bę, mimo najwolniejszego nawet tempa biedne ; rzę ledwie mogło nadażyć za rowerem; po polu, kiedy w szybkim tempie jechałem do Kie-.nad jezioro szesnaście kilometrów, Stasi nie biegła za rowerem, lecz gnała ostrym galopem przede mną, na znanej sobie drodze. A

w poniedziałek znów zaczęła kuleć.

tierze obywatelskie

Pziwnie łatwo nauczyć psa, nawet ostrego i lubiącego-bo łowy, że zwierzęta domowe musi zostawić w spo-łoju. Nawet uparty wróg kotów, którego niepodobna Odzwyczaić od prześladowania kotów w ogrodzie, I cóż dopiero w otwartym polu, nie myśli nawet na-

litować kota w domu. Dlatego od dawna mam zwy-j przedstawiać wszystkie nowo nabyte zwierzęta im psom — w moim gabinecie. Nie wiem, czemu s jest w domu o tyle mniej drapieżny; to pewna nak, że w domu zmniejsza się wprawdzie jego za-myśliwski, ale nie wojowniczość. Dotychczas każ-z moich psów był szczególnie napastliwy i zły na «go psa, jeżeli ten odważył się wtargnąć do nasze-pokoju. Nie miałem nigdy sposobności zaobser-wać tego zjawiska na innych psach, gdyż nigdy reguły nie zabieram moich psów do domów, gdzie i. psy. Takie jest wręcz przykazanie ludzkiej kurtu-|i. Nie tylko dlatego, że niektórych ludzi denerwują Se bijatyki — mnie nie, bo moje psy prawie zawsze jfedy zwyciężają — ale i z tej przyczyny, że podobna ta wyzwala u psa z temperamentem postępowali które nie każda pani domu pochwali. Jak opisa-to dokładnie w rozdziale o psich obyczajach, loszenie nogi ma, prócz innych funkcji, podkreś-

89

łać również, że jest się na własnym terytorium; niejako akt posiadania. Otóż takie podkreślenie własności n i e wydaje się konieczne domowemu psu (któremu jest wzbronione), albowiem i tak czuje on w dostatecznym zgęszczeniu zapach własny oraz dwu- i czworonogich współmieszkańców. Biada jednak, jeżeli obcy albo co gorsza znany mu osobiście, lecz znieawidzony wróg przebiegnie chociaż raz przez mieszkanie! W takim przypadku każdy bodaj odrobinę żwawy pies samiec czuje się zobowiązany do zagłuszenia wstrętnego obcego odoru własną mocną „pieczęcią węchową". Ku zgrozie właściciela ten tak grzeczny zawsze i taki schludny piesek zaczyna latać po całym mieszkaniu, podnosząc nogę bezwstydnie i brutalnie przy każdym meblu po kolei! O tym trzeba również pomyśleć, zanim złoży się jakiemuś

psu wizytę ze swoim psem.

Zatem wspomniana nieagresywność psa we własnym domu dotyczy tylko potencjalnej zdobyczy, nie zaś przedstawiciela własnego gatunku. Niewykluczone, że mamy tu do czynienia z szeroko rozpowszechnionym w świecie zwierząt obyczajem, czy raczej hamulcem. Wiadomo przecież, iż jastrzębie, i wiele innych drapieżnych ptaków, nie polują w pobliżu

90

własnego gniazda. Znajdowano gniazda synogarlic w bezpośrednim sąsiedztwie gniazd jastrzębich i są wiarygodne świadectwa, że kaczki ohary (tadorna ta-dorna L.) wysiadywały jaja w zamieszkałych lisich norach i wyprowadzały potomstwo. Także sarnięta mogą swobodnie wzrastać w sąsiedztwie jaskini wilków. Myślę, że właśnie to prastare prawo obywatelskiego pokoju każe naszym psom zachowywać się spokojnie wobec różnych zwierząt w mieszkaniu.

Rozumie się, że omawiane tu zahamowanie pasji łowieckiej we własnym domu nie jest bynajmniej absolutne. Trzeba stosować bardzo przekonujące \*rodki, aby wytłumaczyć młodemu i lubiącemu polo-ać psu, iż kot, borsuk, młody zając polny, skoczek gipski czy wszelkie inne zwierzę, z którym ma odtąd 'elić pokój swego pana, nie tylko nie może zostać żarte, lecz jest w ogóle nietykalne — tabu — słowo. Kiedy, przed wielu laty, rozpakowałem swego rwszego kocurka imieniem Tomasz, podszedł Bul-, jeden z najzagorzalszych łowców kotów, w najwię-oczekiwaniu, wydając, co się rzadko zdarzało,

m, „pfuj”!

91

to swoje osobliwe, głębokie, przeciągłe skomlenie, wiercił gwałtownie małym kikutem swego ogona i był zupełnie przekonany, że przyniosłem kociaka jedynie po to, by mu dostarczyć radości uśmiercenia go przez potrząsanie. Nadzieja jego była nieco usprawiedliwiona, bo nieraz już przynosiłem mu wysłużone pluszowe misie, kotki i tym podobne do zabawy. Jego wdzięczne igraszki z taką niby-zdobyczą były

niezwykle ucieszne. Ale ten kotek miał być teraz „pfuj”! Bully był bezgranicznie rozczarowany. Ponieważ jednak był to pies bardzo zacy, miły i posłuszny, nie było niebezpieczeństwa, że znając mój zakaz wyrządzi kociakowi krzywdę. Dlatego nie broniłem mu, kiedy się z wolna zbliżył i dokładnie go obwąchiwał, choć drżał na całym ciele z myśliwskiego zapachu, a jego gładka, lśniąca sierść na karku i ramionach znaczyła się złowrogą, matowoczną plamą, która zastępowała mu zjeżoną grzywę. Nic kotu nie zrobił, ale od czasu do czasu oglądał się na mnie, skomląc swym głębokim basem, merdając ogonem i drepcąc w miejscu wszystkimi czterema łapami. Oznaczało to, że wzywa mnie do rozpoczęcia wreszcie tak długo oczekiwanej zabawy w polowanie i do wytrzęsienia ducha z tego nowego, cudownego straszydełka. Kiedy jednak raz po raz z rosnącą emfazą, podnosząc palec, powtarzałem: „pfuj” — Bully rzucił na mnie takie spojrzenie, jakby zważył o moich zdrowych zmysłach, zerknął raz jeszcze wzgardliwie i obojętnie na kocurka, spuścił uszy, westchnął z głębi piersi, jak to tylko buldog potrafi, wskoczył na kanapę i zwinął się w kłębek. Od tej chwili ignorował kota całkowicie. Już tego samego dnia zostawiłem go na długo bez dozoru razem z nowym współlokatorem, wiedząc, że mogę na tym psie polegać. Naturalnie jego chęć wytrzęsienia duszy z kocurka nie wygasła od razu: ilekroć zajmowałem się zwierzątkiem, a przede wszystkim, gdy brałem je na ręce, obojętność opada-

92

ła z Bully'ego na kształt płaszcza: podniecony rzucał się ku mnie, merdał ogonem jak szalony, dreptał, aż podłoga dudniła, i spoglądał na mnie w napięciu i radosnym oczekiwaniu, jakby był bardzo głodny, a ja trzymałbym miskę ciepłego i doskonale pachnącego żarcia. Już wówczas wstrząsnęła mną n i e w i n - n o ś ć w twarzy psa, którego wszystkie chęci skierowane były przeciw na bezlitosne uśmiercenie uroczego kociaka. Ponieważ znałem już dobrze mimikę rozzłoszczonego psa i grymasy jego nienawiści, uświadomiłem sobie bolesną, a przeciw , zarazem łagodzącą sprzeczność: że drapieżca zabija bez nienawiści. Nie jest bynajmniej zły na drugą istotę, którą gotuje się uśmiercić. Zdobycz nie jest dla drapieżnego zwierzęcia jakimś „ty” — drugą osobą! Gdyby wytłumaczyć lwu, iż gazela, którą ściga, st

właściwie jego siostrą, gdyby można przekonać lisa, iż zając jest jego bratem, byłiby obydwaj zdumieni, jak niejeden człowiek się zdumiewa, gdy mu zwiedzieć, że jego śmiertelny wróg jest także czło-kiem. Jedynie ten może zabijać nie ponosząc wi-, kto nie wie, że jego ofiara to „także ktoś”. Jack London bardzo wyraziście opisuje „niewin-'e-krwiożerczą maskę” drapieżcy w jednej z nowel dalekiej północy. Bohater, nie mający już nabojów, "gany jest przez całe stado wilków. Zrazu płochliwe "o oblega wyczerpanego bezsennością coraz zu-alej i groźniej, w miarę jak przekonuje się o jego ile. Wreszcie ów człowiek, zmożony wyczerpani, zasypia przy swym małym mozolnie podsyca-ognisku. Kiedy — na szczęście — budzi się po minutach, krąg wilków dokoła niego zwęził się tak, że podróżnik widzi z bliska maski zwierząt: gła uświadamia sobie, że zniknął z nich wyraz ~ogi i groźny: nie mają już zmarszczonych no-, przymrużonych ze złością oczu, wyszczerzonych ani groźnie spleśzczonych uszu. Nie słysząc

93

warczenia, głęboka cisza i krąg przyjaźnie patrzących, uważnych psich twarzy z nastawionymi uszami i szeroko rozwartymi oczyma. Dopiero kiedy któryś wilk przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę i szybko się przy tym oblizał, stała się dla bohatera jasna owa zmiana wyrazu wilków: przestały się go bać. Przestał być w ich oczach groźnym przeciwnikiem, jest już tylko apetycznym posiłkiem...

Jeszcze w wiele tygodni później wystarczyłoby z mojej strony ciche zaproszenie, by mały buldog uśmiercił kocurka. Bez tego pozwolenia jednak kotek nie tylko był bezpieczny, ale Bully bronił go w dodatku przed innymi psami! Nie z miłości! Gdyby wyrazić to ludzkimi słowy, zdanie jego brzmiałoby mniej więcej tak: „Jeżeli nawet mnie nie wolno w moim własnym mieszkaniu zabić tego przekłętą kociska, to cóż dopiero jakiemuś przybłędzie!” Mały od początku nie zdradzał najmniejszego lęku przed psem, co dowodzi zresztą, że kot bynajmniej nie rozumie „instynktownie” mimiki psa! Raz po raz próbował się z nim bawić; udawał na przykład, że go atakuje, albo, jeszcze lekkomyślniej, proponował mu zabawę w berka, przyskakując do niego figlarnie i natychmiast rzucając się do ucieczki. Mój dzielny Bully musiał wówczas z całych sił się opanować, a drzenie tłumionej namiętności przebiegało go za każdym

razem.

Po kilku tygodniach Bully zmienił swój stosunek do kotka. Albo jego uczucia uległy niepostrzeżenie przemianie, albo nawiązało się to zbliżenie wyłącznie pod moją nieobecność. Kiedy pewnego dnia Tomasz zapraszał psa do gonitwy, ujrzałem, zrazu zdumiony i oburzony, jak Bully goni go wściekle, ten zaś znika pod kanapą. Pies leżał, wcisnąwszy swój gruby łeb pod kanapę, a na moje oburzone wołanie odpowiadał tylko ożywionym merdaniem swego okaleczonego ogonka. Merdanie to nie oznaczało bynajmniej wyraźnie, że żywił przyjazne uczucia wobec k o t a, bo

94

miał zwyczaj merdać zawsze, kiedy gryzł się z jakimś psem, a ja usiłowałem walczyć rozdzielić. Z przodu kąsał straszliwie, a z tyłu merdając przyjaźnie: cóż za zdumiewająca złożoność przeżyć duchowych! Merdanie oznaczało w takich przypadkach niejako: „Ukochany i czcigodny panie! Nie gniewaj się, proszę, ale niestety ja nie mogę w tej chwili wypuścić tego ohydneho kundla, nawet jeżeli dasz mi okropne lanie albo — uchowaj Boże — uśniesz na mnie kubłem zimnej wody!” Otóż tym ;em nie był to ów rodzaj merdania. Gdy Bully chał mnie wreszcie i wycofał się spod kanapy, lo-iiasz wystrzelił stamtąd jak pocisk aririatni, rzucił się la psa, wpił mu jedną łapę w kark, a drugą w twarz, łróbując od spodu ugryźć go w krtań, przy czym mo-tolnie wykręcał łebek. Obydwa przypominały obraz lelma Kuhnerta, przedstawiający lwa zabijające-w ten sam sposób bawołu. I oto stała się rzecz

95

zdumiewająca: Bully natychmiast dał się wciągnąć w zabawę, przekonywająco udając ofiarę: ciężko padł do przodu, poddając się ruchowi malutkich kocich łapek, przewrócił się na wznak, tarzał się i rzeził, jak tylko wesoły buldożek to potrafi, albo bawół zarzynany naprawdę. Kiedy uznał, że dostatecznie długo pozwala się uśmiercać, przejął inicjatywę, zerwał się, strząsając z siebie kotka. Ten uciekł, ale po paru metrach dał się dogonić, fiknąwszy koziołka, i oto zaczęła się jedna z najładniejszych zabaw, jakie kiedykolwiek u zwierząt widziałem. Kontrast czarnego, połyskliwego, masywnego, tryskającego siłą muskularnego ciała psa z delikatnym,



giętkim, szaro pręgowanym ciałkiem kota był czarujący!

Z punktu widzenia nauki interesującą stroną takich igraszek kota z partnerami większymi od niego jest rzecz następująca: sposób poruszania się w tej zabawie z pewnością nie służy walce, tylko zdobywaniu pożywienia, zabijaniu wielkich zwierząt jako zdobyczy. Ale zdobycz, której się wbija w kark jedną łapę i którą gryzie się w gardło od spodu, musi być niewątpliwie większa albo przynajmniej wyższa od danego drapieżnego kota. Zdobycz takiej nie zabija jednakże nasz kot domowy ani też jego forma dzika, od której pochodzi. A zatem zachodzi tu chyba ciekawy, nie odosobniony zresztą fakt, że prastara w dziejach gatunku, szeroko rozpowszechniona w pokrewnej grupie zwierząt seria poruszeń zatracza w którymś rodzaju zwierząt swoje pierwotne znaczenie żywotne, a mimo to nie zanika, lecz zostaje przekazana, ale już tylko w zabawie zwierzęcia można ją jeszcze widzieć.

Po śmierci Tomasza minęło sporo lat, nim znów zaobserwowałem „ruch zabijania bawołu” w zabawie kota. Lwem był wówczas bardzo duży, srebrzyście pręgowany kocur, bawołem natomiast —■ moja półtoraroczna córka Dagmar. Ponieważ byli ze sobą

96

rdzo zaprzyjaźnieni, ten niezbyt łagodny kot na ele jej pozwalał. Dagmar wolno go było obnosić po

nu, choć był prawie tak długi jak ona, tak że nie Ja go swobodnie nieść: przynajmniej jego wspa-y, czarno i srebrno pasiasty ogon włókł się zawsze demi, wcześniej czy później dziecko przydeptywa-i potknąwszy się padało brzuchem na kota — 10 tu było doprawdy wymagać, by w tej sytuacji i nie drapał. Wynagradzał sobie to jednak i sposób, że Dagmar musiała mu służyć jako ba-IBył to emocjonujący widok, jak czaił się na małą, susa, obejmował ją i kasał w jakąś poręczną ciała — naturalnie zawsze „na niby”. Mała ała wprawdzie, ale tylko dlatego, że to należa-^ zabawy...

Zresztą wydaje mi się pewne, iż te ru-ńerciedlają metodę łowów także dlatego, że za je zawsze nader realistyczne czyhanie adanie się.

cyjadczenie uczy, że utrzymać na wodzy pasję ! wobec różnorodnych współlokatorów bywa idniej lub łatwiej. Podczas gdy bardzo łatwo Bajać od zabijania ptaków nawet

niezmiernie \$ae do łowów psy, nieoczekiwane trudności na-

97

stręcza wstrzymywanie ich od łowów na niektóre małe ssaki. Najsilniejszą w tej mierze pokusę stanowią chyba króliki; na tym punkcie nieodpowiedzialne są nawet psy nie zabijające kotów. Susi natomiast nie wykazuje — rzecz niepojęta! — żadnego zainteresowania chomikami syryjskimi, ale wolno biegającego po pokoju skoczka egipskiego pragnie uśmiercić nieugięcie, mimo wielokrotnych ostrzeżeń.

Jedną z największych niespodzianek przeżyłem przed wielu laty, kiedy przyniosłem do domu, do moich ostrych owczarków, oswojonego borsuka. Oczekiwałem, że to dziwaczne dzikie zwierzę będzie ogromnie ponętym obiektem dla wszystkich złych instynktów łowieckich moich psów. Przeciwnie. Psy obwąchały wprawdzie nieulekłego i najwyraźniej obytego już dawniej z psami borsuka podejrzliwiej i w większym napięciu niż innego psa, ale od pierwszego momentu widać było po wszystkich ich charakterystycznych ruchach, że nie upatrują w borsuku zwierzyny łownej, lecz nieco osobliwego przedstawiciela ich gatunku. Po paru godzinach od jego przybycia bawiły się już z nim z zażyłością bez zahamowań. Zabawne było przy tym patrzeć, jak sposób zabawy gruboskórnego stworu był trochę za rubaszny dla cieńszej skóry psów. Raz po raz słychać było, że któryś z nich skowyczał boleśnie, kiedy borsuk za mocno go schwycił. Ale walka na niby nigdy nie zamieniała się w poważną, i psy całkowicie ufały społecznym hamulcom borsuka: dawały się przewracać na grzbiet, chwytać za gardło i według wszelkich prawideł sztuki „dusić”, zupełnie tak, jak zachowywałyby się same wobec zaprzyjaźnionego psa.

Osobliwy był stosunek wszystkich moich psów do małp. Moje oswojone małpiatki, a zwłaszcza milutką mongozmaki (lemur mongoz L.) imieniem Maxi, musiałem zrazu chronić surowymi rozkazami i karceniem od psich ataków. Ale i później psy goniły

98

ciem serio, przynajmniej na dworze, ją zresztą tylko bawiło. Wina nie by-jednak wyłącznie po stronie psów, największą przyjemność sprawiało axi podkradanie się do nich od tyłu, czym, mocno uszczypnąwszy psa zadek albo szarpnąwszy za ogon, błę-wicznie wskakiwała na drzewo i z bezpiecznej wysokości zwieszała swój ji ogon tak

właśnie, by huśtał się tuż a zasięgiem zębów słusznie oburzo-go psa.

Jeszcze bardziej napięty był stosu-Maxi do kotów, a zwłaszcza do na-Pussy, matki niezliczonych kociąt, była bowiem starą panną. Cho-dwukrotnie kupowałem dla niej i, nie udało się szczęśliwie wydać męż: jeden samiec oślepl, drugi wypadkowi. Tak więc Maxi pozo-bezdietna i jak niejedna bez-a kobieta zazdrościła szczęśliwej błogosławieństwa rodzinnego, szczęśliwą matką Pussy zostawała regularnie 'gazy na rok. Otóż Maxi interesowała się kocięta-namiętnie, jak niezamężna siostra mojej mat-simi dziećmi. Moja żona więc bez oporu, et z wielką wdzięcznością zostawiała nieraz sję opieką na jakiś czas dzieci, natomiast Pussy dem odmiennego zdania.

Obserwowała mał-Ł z najwyższą nieufnością i ta musiała być bar-/roźna, kiedy chciała wziąć sobie kociątko, aby cić i całować". A jednak udawało jej się to raz ! Gdziekolwiek by Pussy najstaranniej ukryła i pilnowała ich, Maxi zawsze odnajdywała i porywała kotka. Trzymała zrabowane o tak, jak to czynią samiczki maki, przyciśnięte

99

tylną nogą do brzuszka. Na pozostałych trzech łapach mogła i tak uciekać i wspinać się szybciej niż kotka, nawet jeżeli ta przyłapywała ją na gorącym uczynku. Wówczas zaczynała się dzika gonitwa, która kończyła się najczęściej na tym, że małpiatka rozsiadała się wygodnie na cieniutkich gałązkach w górze, dokąd kotka nie mogła już dotrzeć, i tam oddawała się istnej orgii macierzyństwa. Przede wszystkim zdawało się, że Maxi zależy na przyrodzonym instynktownym geście mycia: starannie przeczesywała kotkowi futerko, czemu ten chętnie się poddawał, a szczególnie mozoliła się nad oczyszczeniem tych części, które tego u osesków najbardziej potrzebują. Staraliśmy się oczywiście jak najszybciej odebrać jej kotka, gdyż obawialiśmy się, że mogłaby go kiedyś upuścić, co się jednak nigdy nie zdarzyło. Trudno by mi odpowiedzieć na pytanie, jak właściwie samiczka mongoza poznawała, że kotki to młode zwierzęta. Nie według rozmiarów, gdyż nie wykazywała najlżejszego zainteresowania dorosłymi drobnymi ssakami mniej więcej tej samej wielkości. Ale kiedy moja suczka Tito miała później dzieci, dobra ciocia tak samo zachwycała się nimi, jak przedtem kociętami, i to jeszcze wówczas, kiedy szczenięta

były już większe od niej. Chociaż z niechęcią, Tito na mój surowy rozkaz musiała się pogodzić z tym, że Maxi

100

-ładowywała nagromadzoną w sobie potrzebę eki również na jej szczeniętach. Nie koniec na : kiedy mianowicie urodziło się najstarsze z mo-dzieci, Maxi uznała i to za niesłychanie pożądany dmiot opieki i godzinami siedziała przy chłopa-w wózku — dla nie wtajemniczonych widok te niesamowity, bo główka z czarną twarzą, ającymi, ludzkimi uszkami, szpiczasty nos dra-żcy, lekko wystające kielki, a przede wszystkim mne, bursztynowe oczy nocnego zwierza, któ-żrenice są we dnie ściągnięte jak główka szpilki, a w sobie coś zdecydowanie niepokojącego, wdopodobnie odczuwali to już dawni zoologowie, ochrzcili tę grupę zwierząt nazwą lemury, czyli ry. Trzeba się lepiej wpatrzeć w dziwną fizjo-'ę małpiatek, aby odczuć, jak urocze i miłe jest e .zwierzę. Ale dziecko można było równie spo-'e powierzyć opiece małpiatki, jak mojej ciotce, ety miłość Maxi doprowadziła do tragicznego iktu: stała się ona mianowicie tak złośliwa z za-i o kobiety pielęgnujące dziecko, że wreszcie y zmuszeni trzymać ją w klatce, pełnie inny był stosunek psów do prawdziwych . Aby to wyjaśnić, muszę pozwolić sobie na pew-resję.

roko rozpowszechnione jest wierzenie w szcze-moc ludzkiego wzroku. W Księdze dżungli Ki-

101

plinga Mowgli zostaje wygnany przez stado wilków dlatego, że nie potrafią one znieść jego spojrzenia. Nawet najlepsza jego przyjaciółka — czarna pantera Bagheera nie może patrzeć mu prosto w oczy. Jak w każdym ludowym wierzeniu — jest i w tym cząsteczka prawdy. Choć więc Paul Eipper zatytułował swą piękną zresztą książkę o zwierzętach Tiere sehen dich an (Zwierzęta patrzą na nas) — czworonogi i ptaki tym się jednak zazwyczaj charakteryzują, że ani zaprzyjaźnionemu człowiekowi, ani sobie nawzajem nie patrzą prosto w oczy. Prawie żadne zwierzę nie ma wykształconej siatkówki, która daje człowiekowi „nastawienie na ostrość” oka. Ludzka centralna część siatkówki wyspecjalizowana jest tak, że daje człowiekowi

ostre widzenie obrazu, a ponieważ pozostałe jej części dają obraz nierównie gorszy, oczy nasze wędrują nieprzerwanie od jednego do drugiego punktu nastawiając je kolejno na fovea centralis — na ostrość. Złudzeniem jest, że ogarniamy jednocześnie ostro cały obraz. U większości zwierząt ten podział pracy między centrum siatkówki a jej peryferiami nie idzie tak daleko: to znaczy, że widzą środkiem mniej ostro i dobrze, ale za to peryferiami lepiej niż człowiek. Dlatego zwierzęta patrzą wprost rzadziej i nie tak długo. Kiedy wyjść w pole z psem towarzyszącym nam luzem i obserwować, jak często będzie na nas spoglądał, dowiemy się, że zaledwie raz czy dwa razy w ciągu godziny; wygląda wręcz na to, że pies przypadkiem podąża tą samą drogą. Bierze się to stąd, że pies może skrajami pola widzenia doskonale zauważać, gdzie się w tej chwili jego pan znajduje. Większość zwierząt, które w ogóle mogą wpatrywać się obojgiem oczu, jak ryby, płazy, ptaki i ssaki, czyni to zawsze krótko i w momentach najwyższego celowego napięcia: albo wtedy, kiedy się boją przedmiotu, w który się wpatrują, albo cos w stosunku do niego zamierzają — najczęściej

102

C dobrego. U zwierzęcia wpatrywanie się jest nie-al jednoznaczne z celowaniem. Dlatego zwierzęta 'ędzy sobą uważają takie wpatrywanie się za aynie wrogie i zagrażające. Stąd — w obcowaniu zwierzętami — obowiązywać winny pewne nakazy rzejmości i taktu: kto chce pozyskać zaufanie pło-Iwego kota lub strwożonego młodego psa, niechaj dy nie wpatruje się ostro w zwierzę, lecz rzuca na okiem na krótko, jak gdyby wzrok spoczał na " rzęciu tylko przelotnie. ■ Wszystkie prawdziwe małpy mają tę samą fizjolo-oka co człowiek. Ponieważ są bardzo ciekawe i w waniu z innymi stworzeniami całkowicie wyzute tu i uprzejmości, działają więc na nerwy innym om, zwłaszcza psom i kotom. Sposób, w jaki na-najmilsze zwierzęta domowe reagują na małpy, 'erciedla dokładnie ich stosunek do ludzi. Ła-e, pokorne wobec człowieka psy dają się stale e tyranizować nawet najmniejszym małpom, zatem nie było potrzeby bronienia mojej małej tkiej kapucynki przed ostrymi, wielkimi psami, iwnie: podczas nieporozumień musiałem często •eniować na korzyść psa. Moja mała, białogło-kapucynka Emil kochała wprawdzie buldożka ■'ego, lecz

używała go też jako wierzchowca i po-sgo grzejnika. Jednak, skoro tylko przeciwsta-  
~ę woli swego małego przyjaciela, sypały się ' i ukąszenia. Dopóki Emil potrzebował  
go ja-iuszki elektrycznej, Bully nie śmiał wstać ze legowiska na mojej kanapie.

Podczas karmie-trzeba było małą wydalac z pokoju, ponie-"eszkadzała mu w tym z  
ohydnej zawiści aie, chociaż na myśl by jej nie przyszło zreć sa-rostej „domowej  
kuchni" psa. Psy ze swej Odnoszą się do małą jak do swawolnych, złoś-dzieci,  
których szanujący się pies, jak wiado-' nie gryzie, a nawet na nie zbyt groźnie nie  
103

warczy, kiedy, szczerze mówiąc, w zupełności na to zasługują!

Inaczej koty. Te nawet ludzkim dzieciom nie na wszystko gotowe są pozwalać,  
choć są nieraz zadziwiająco cierpliwe. Tomasz nie wahał się bynajmniej, parszając  
i prychnając, wlepić małemu Emilowi kilku mocnych policzków, kiedy ten ciągnął go  
za ogon. Również innym moim kotom zawsze się udawało obronić przed małpami.

Według moich obserwacji ułatwia im obronę jakaś wrodzona małpom obawa przed  
drapieżcami z rodziny kotów. Obydwe moje uistiti, urodzone już w niewoli, nie  
miały z pewnością żadnych złych doświadczeń z drapieżnym przedstawicielem z  
rodziny kotów, a jednak bały się panicznie wypchanego tygrysa w Instytucie  
Zoologicznym i były wobec naszych kotów zawsze zastraszone i ostrożne. Również  
kapucynki nie zbliżały się do kotów tak niefrasobliwie jak do psów.

Sentymentalne antropomorfizacje są mi wstrętne. Niedobrze mi się robi, gdy znajdę  
w jakimś magazynie Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami obrazek „dobrzy  
przyjaciele", czy jakoś podobnie podpisany, na którym kot, jamnik i gil siedzą razem  
i jedzą z jednej miski. Prawdziwą przyjaźń znam tylko między człowiekiem a  
zwierzęciem, ale nie między różnymi gatunkami zwierząt. Dlatego nazwałem ten  
rozdział „przymierzem obywatelskim", nie zaś „przyjaźnią między zwierzętami".

Wzajemne tolerowanie się dalekie jest jeszcze od przyjaźni, a nawet jeżeli zwierzęta  
zbliżają się jakoś we wspólnym interesie — jak na przykład w zabawie — nie jest  
bynajmniej pewne, że istnieje prawdziwy kontakt, a cóż dopiero przyjaźń. Mój kruk  
Roa, który przelatywał kilometry, by mnie odszukać na plaży nad Dunajem, moja  
szara gęś Martina, która witała mnie tym dłużej i radośniej, im dłużej przebywałem

poza domem, moje dzikie gęsiory — Peterl i Viktor, które broniły mnie wściekle  
104

ed atakiem prastarego gęsiora, choć się go poza bardzo obawiały — tak, te zwierzęta były ze mną czywiście bardzo zaprzyjaźnione, to znaczy, że mi-polegała na wzajemności. Że to się jednak bar-rzadko zdarza pomiędzy zwierzętami różnych in — ma swoje przyczyny głównie w „trudnoś-ch lingwistycznych”: i tak na przykład kot, jak już omniałem, nie ma w swojej naturze zrozumienia wet dla tych najdosadniejszych, najbardziej rzu-jących się w oczy oznak psiego gniewu, a znów es nie rozumie ich u kota — tedy o ileż mniej rozu-'-ją wszelkie najsubtelniejsze odcienie przyjaz-h uczuć, do których każde z nich jest przecież Ine! Nawet te bliskie stosunki między Bullym a lożem, które z biegiem lat, dzięki coraz większemu

105

wzajemnemu zrozumieniu i zżyciu się, istotnie się pogłębiły, wahałbym się nazwać przyjaźnią, tak samo jak stosunki między moim owczarkiem a borsukiem. A były to najintymniejsze i najpodobniejsze do przyjaźni stosunki, jakie kiedykolwiek istniały w moim domu między zwierzętami dalekimi sobie zoologicznie. A ponieważ mieszkały z nami przez czterdzieści lat bardzo liczne i bardzo różne stworzenia w największym przymierzu, byłoby chyba dosyć okazji do zawierania przyjaźni. Chcę wszelako podkreślić, jak rzadka jest prawdziwa przyjaźń między zwierzętami różnych gatunków, zwłaszcza między psem a kotem, bynajmniej jednak nie wykluczając jej możliwości! Obserwowałem wprawdzie jeden tylko przypadek: więź, którą sam określiłbym jako przyjaźń, istniała między małym pstrym kundelkiem a trójkolorową kotką. Obydwa zwierzęta mieszkały w chłopskim domu w mojej wsi rodzinnej. Pies był wątły i bardzo tchórzliwy, a kotka — silna i odważna. Była też znacznie starsza od niego i najwidoczniej od jego wczesnej młodości darzyła go uczuciem z lekka macierzyńskim. Zwierzęta te nie tylko się razem bawiły, ale każde z nich ogromnie sobie jeszcze ceniło towarzystwo drugiego, tak że widywało się je na przykład idące razem przez ogród czy na wiejskiej drodze. Dziwna ta przyjaźń wytrzymała też najtrudniejszą, decydującą próbę. Ów pies należał do zdeklarowanych wrogów mojego Bully'ego. Pewnego razu Bully zaskoczył go na

drodze i zaczęła się

106

ważna bitwa. Wtem — możecie mi wierzyć lub nie z drzwi domu wystrzeliła jak pocisk kotka i runęła furia do boju. W parę sekund zmusiwszy Bul-ego do ucieczki, pojechała na nim, jak lew Freilig-tha, siedząc na barkach uciekającego jeszcze spory wał drogi! Otóż dlatego właśnie, że zdarzyć się mo-podobnie głęboka i autentyczna więź między tak żnymi zwierzętami, nie godzi się określać mianem rzyjażni" czegoś takiego, jak kiedy flegmatyczny, ejedzony miejski pies i taki sam kot jedzą w poko- . swego pana ze wspólnej miski, nie czyniąc sobie wzajem nic złego.

Płoty

Zwyczajne zdarzenie: idę wzdłuż płotu ogrodowego, za którym ujada, warczy, szaleje duży pies. Szczercząc kły, napiera na ogrodzenie z siatki i najwidoczniej ono wyłącznie powstrzymuje go od skoczenia mi do gardła. Nie daję się zastraszyć jego straszliwym groźbom i bez wahania otwieram furtkę. Pies osłupiał; jest zmieszany. Szczeka dalej, dla formy, ale brzmi to już mniej groźnie; widać wyraźnie, że i przedtem już by się tak nie był wściekał, gdyby przewidział, że nie uszanuję nieprzekraczalności ogrodzenia. Może się nawet zdarzyć, że po otwarciu furtki umknie wiele metrów dalej i stamtąd, z bezpiecznej odległości, będzie dopiero — w zupełnie innym już tonie — kontynuował szczekanie. Zresztą może ostatecznie i tak się stać, że bardzo płochliwy pies albo wilk za ogrodzeniem nie okaże nawet znaku wrogości czy obawy, jednak gdy się tylko otworzą jakieś drzwi w przeszkodzie, napadnie od razu wchodzącego człowieka, i to wcale nie na żarty, lecz z niebezpiecznym impetem.

Jakkolwiek obydwa te sposoby zachowania się są na pozór sprzeczne i wzajem się wyłączają, można objaśnić je tym samym mechanizmem.

Każde zwierzę, a przede wszystkim każdy większy

108

ssak, ucieka przed silniejszym przeciwnikiem, kiedy ten zbliży się poza określoną granicę. Dystans ucieczki, jak nazywa ten sposób zachowania się profesor Hediger, badacz tego problemu — dystans ów rośnie w tym samym stopniu, w jakim zwierzę



boi się przeciwnika. Ale z tą samą prawidłowością, możliwą do przewidzenia, z jaką zwierzę ucieka, gdy wróg przekracza dystans ucieczki, staje ono jednak do boju, gdy wróg zbliży się na określoną, o wiele mniejszą odległość. W przyrodzie zachodzi takie przekroczenie dystansu krytycznego (Hediger) jedynie w dwu przypadkach: kiedy groźny wróg zaskoczy zwierzę, to jest zwierzę dostrzeże go dopiero wtedy, gdy ten znajdzie się blisko, albo kiedy zwierzę jest w ślepych zaułku i nie może uciekać. Specjalna odmiana pierwszej z tych możliwości zachodzi wówczas, gdy duże, mogące się bronić zwierzę widzi wprawdzie zbliżanie się wroga, ale nie od razu reaguje ucieczką, lecz kryje się jakby w nadziei, że wróg przejdzie nie zauważwszy go. Jeżeli przypadkiem wróg natknie się bezpośrednio na zwierzę, które „się schowało”, wówczas zwierzę orientuje się, że zostało „odkryte”, dopiero wtedy, kiedy dystans krytyczny jest już przekroczony. W takim przypadku następuje natychmiast rozpaczliwy atak. Mechanizm isany tu na ostatku sprawia, że poszukiwanie więch postrzałków, zwłaszcza dużych drapieżców, stają tak niebezpieczne. Atak bowiem spowodowany przez przekroczenie dystansu krytycznego jest ogólnie najgroźniejszym atakiem, do którego dane zwierzę jest w ogólnie zdolne. Podobne reakcje są ciwne nie tylko dużym drapieżcom: występują na kład wyraźnie u naszych chomików, wściekły tak zaś zapędzonego w ślepy zaułek szczura wszedł „wet do angielskiego przysłowia oznaczającego walkę: fighting like a cornered rat. |f Działanie dystansu ucieczki i dystansu krytycznego-

109

go należy brać pod uwagę, jeśli się chce objaśnić wyżej opisane zachowanie się psa za ogrodzeniem i po otwarciu furtki. Dzieląca krata ma bowiem takie znaczenie jak wielometrowa odległość: pies czuje się zabezpieczony przed wrogiem, a przeto jest odważny. Z drugiej znów strony — otwarcie furtki wywiera wrażenie, że wróg zbliżył się o tę dzielącą przestrzeń. Szczególnie u zwierząt w ogrodach zoologicznych, przebywających bardzo długo za kratami i dlatego przekonanych o ich nieprzekraczalności, może wystąpić niebezpieczny efekt. Z kratą pomiędzy sobą a człowiekiem zwierzę czuje się pewne, jego dystans ucieczki nie jest za mały, zwierzę może nawet nawiązać przyjazny kontakt z człowiekiem stojącym za kratą.

Jeżeli jednak człowiek, zaufawszy mu — bo zwierzę dało mu się spokojnie pogłaskać skroś kraty — wejdzie nieoczekiwanie do klatki, to może się zdarzyć nie tylko, że zwierzę przerażone ucieknie, lecz także — że się nań rzuci, bo po odpadnięciu krat zarówno dystans ucieczki, jak znacznie mniejszy dystans krytyczny został przekroczony. Oczywiście podobne postępowanie zostanie złożone na karb „obłądy” zwierzęcia.

Znajomości tych zasad zawdzięczam, że nie napadł mnie pewien oswojony wilk. Kiedy mianowicie chciałem skojarzyć moją suczkę Stasi z pięknym, wielkim syberyjskim wilkiem z ogrodu zoologicznego w Królewcu, mocno mi odradzano, gdyż miał on opinię złego. Umieściłem początkowo obydwójce w sąsiadujących ze sobą klatkach rezerwowego oddziału ogrodu i otworzyłem łączące drzwi tylko na tyle, by Stasi i wilk mogły, wytknąwszy nosy, obwąchiwać się wzajemnie. Kiedy po ceremonii zetknięcia nosów obydwaj przyjaźnie machały ogonami, już po kilku minutach odsunąłem drzwi całkowicie, i nie pożałowałem tego, bo się natychmiast i na stałe z miejsca polubiły. Ujrzawszy zatem moją serdeczną przyja-

110

"ółkę Stasi bawiącą się z wilkiem, poczułem przy-ambicji, by wystąpić w roli pogromcy i również odwiedzić wilka w jego klatce. Ponieważ przez kraty okazywał mi wielką uprzejmość, rzecz wydawała się nie wtajemniczonym całkiem niewinna, ale byłbym się niezawodnie mógł wdać w groźną przygodę, gdybym nie znał proporcji między kratami a dystansem krytycznym. Zatem zwabiłem Stasi i wilka do najdalszej z długiego ciągu klatek, po czym ewakuowałem kilka psów, jednego szakala i hienę. Następnie po- otwierałem wszystkie dzielące drzwi, wszedłem po-: woli i ostrożnie do pierwszej klatki i stanąłem tak, że , mogłem widzieć całą amfiladę. Zwierzęta nie od razu e mnie zauważyły, bo w momencie mego wejścia znajdowały się za linią otwartych drzwi. Po chwili wilk hwyjrzał przypadkiem za drzwi ostatniej klatki i do- . strzegł mnie. I ten sam wilk, który znał mnie dobrze, , który przez kraty lizał moje ręce, pozwalał im, by go drapały za uchem, który już z dala witał mnie radosnymi podskokami; ten sam wilk przeraził się do głębi, kiedy stanąłem nagle w odległości dziesięciu metrów od niego, ale już bez dzielących nas

krat! Spłaszczyl uszy, podniósł grzywę na karku w groźny grzebień i, ■ podkuliwszy kity, zniknął błyskawicznie z drzwi. Jednak zaraz zjawił się znowu, wprawdzie jeszcze w trwoźnej postawie, ale już nie zjeżony, i patrząc na mnie z przekrzywioną głową, jał drobno merdać ogonem, podkulonym wciąż jeszcze. Taktownie popatrywałem w bok, bo spojrzenie prosto niepokoil zwierzęta wyprowadzone z równowagi. Widocznie w tej samej chwili musiała mnie zauważyć Stasi, bo kiedy ostrożnie zerknąłem na amfiladę drzwi, ujrzałem ją pędzącą ku mnie wyciągniętym galopem. Tuż za nią gnał wilk! Wyznaję, że na ułamek sekundy zląkłem się; zaraz jednak wrócił mi spokój, bo wilk wykonał w galopie niezgrabny, a radosny podskok z owym ledwie zaznaczonym potrząśnięciem łba, w którym

111

znawca psów rozpozna zachętę do zabawy. Wówczas skupiłem wszystkie siły, by przygotować się na spodziewany powitalny szturchaniec potężnego zwierzęcia. Ustawiłem się przy tym bokiem, by uniknąć owego sławetnego straszliwego kopnięcia w brzuch. Mimo tych środków ostrożności z trzaskiem rzuciło mną o ścianę. Zresztą wilk był znów ufny i miły. Jednakże o jego potężnej sile i odpowiedniej brutalności jego zabawy możemy sobie wyrobić pojęcie, jeżeli wyobrazimy sobie połączenie w jednym psie prężności muskulatury foksteriera z wagą skandynawskiego doga. W owej zabawie zrozumiałem, dlaczego wilk ma przewagę w walce z całą sforą psów, jako że mimo techniki gimnastycznej moich nóg raz po raz lądowałem na ziemi.

Inna historia o płotach dotyczy mego starego Bul-ly'ego i jego wroga — pewnego białego szpica. Szpic ów mieszkał w domu, przed którym ciągnął się długi i wąski ogródek, ogrodzony od ulicy prowadzącej nad Dunaj zielonym drewnianym płotkiem. Wzdłuż tego płotu, mniej więcej trzydziestometrowego, zwykli byli galopować obydwaj bohaterowie, zanosząc się wściekłym ujadaniem, przy czym w punktach końcowych płotu przystawali na krótko, wymyślając sobie i zlorzecząc z gestami i dźwiękami najwyższej

112

pasji. Otóż pewnego dnia stała się rzecz bardzo dla obu przykra: płot zaczął

gruntownie odnawiać i w tym celu część desek zabrano. Piętnaście metrów w górę ulicy stał jeszcze, lecz połowa w stronę rzeki zniknęła. Przyszedłem z Bullym od strony góry, wiejską ulicą. Szpic naturalnie widział nas już z daleka i czekał, warcząc i trzęsąc się z irytacji, w najwyższym kącie ogrodu. Zrazu zaczął się, jak zawsze, pojedynek wrzasku przy jednym końcu płotu, po czym obydwaj pognali po jego obu stronach na swój zwykły ~alop frontowy. I oto stała się rzecz okropna: prze-iegły miejsce, gdzie płot się skończył, i zauważyły rak płotu dopiero stanawszy w drugim kącie ogro-, a więc tam, gdzie według przepisu miał się odbyć gi pojedynek obelg. Obaj bohaterowie stali naje-ni, z wyszczerzonymi zębami i — nie mieli płotu! czekanie urwało się raptownie. Czy się wahali? za-awiali? Nie. Jak jeden pies zawrócili, pognali . k w bok do tej części ogrodu, gdzie płot stał jesz-, i z wściekłością ujadali dalej.

#### Konflikty o małego dingo

Ponieważ chciałem wyrobić sobie pojęcie o zachowaniu się dingo i jego stosunku do psa domowego, zależało mi na tym, by wychowywała go suka domowa. Sposobność nadarzyła się, kiedy moja Senta, matka Stasi, i suka dingo z zoo w Schönbrunnie były jednocześnie brzemiennie.

W przeszłości dingo tak się dziwnie złożyło, że był on, z wyjątkiem nietoperzy, jedynym zwierzęciem, nie należącym do niższej klasy torbaczy, jakie znaleziono po odkryciu Australii. Co dotyczy często dyskutowanego zagadnienia, czy dingo jest prawdziwym dzikim psem, czy też zdziczałym psem domowym, przyłączyłbym się do tej drugiej hipotezy, bo nawet dingo czystej krwi wykazują często cechy domestyfi-kacji, jak białe „skarpetki”, strzałka na czole, biały koniuszek ogona.

Dalszy dowód zaczerpnąć można z kultury Australijczyków: nie znają tam ani uprawy roli, ani zwierząt domowych i pod względem kulturalnym znajdują się dziś o wiele niżej niż w czasach, gdy zasiedlali kontynent — wtedy bowiem musieli przecież być żeglarzami. Zapewne przywieźli więc i dingo, który skutkiem upadku i wraz z upadkiem kultury odłączył się od ludzi. Zarówno do upadku kultury, jak do zdziczenia dingo mogła się przyczynić

ta sama okoliczność: że mianowicie wiele spośród torbaczy jest bardzo nieruchawych — a przeto stanowi łatwą zdobycz.

Tak więc przyszedłem z moim rudobrunatnym malutkim dingo, który nie miał widocznych śladów niegdysiejszej zależności swoich praojców od człowieka.

Przynio-łem go w teczce do Altenbergu |; i poszedłem od razu na taras lipowy, gdzie przebywała Senta ze ^ swoim potomstwem, aby podsunąć jej to kukulcze jajo. Tymcza-sem mały dingo poczuł głód | i nieustannie pisał i skomlał, i tak że Senta usłyszała to już z da-| leka i podeszła, nastawiając uszy, t z trwożną miną.

I Suka nie umie liczyć i umysł jej nie jest zdolny stwierdzić, że kwili Ichyba obce dziecko, bo przecież jej własne zebrane są w wybiegu. Ipolatujące z teczki wołanie o po-^ioc wyzwoliło w niej po prostu lacerzyńską troskę, i dlatego bce szczenię wydało jej się włas-pym.

W nadziei, że Senta zanieś małego od razu do liazda, posadziłem dingo na podłodze. Kiedy się ice mianowicie, żeby samica ssaka zaadoptowała Sbce małe, należy je zaprezentować poza gniazdem gp możliwie żalosej sytuacji, bo bezradne i leżące pEtmotnie młode wyzwała skuteczniej instynkt macie-(yński, niż kiedy jest w gnieździe. Może się zdarzyć,

§ ta sama opiekunka tego samego znajdę zabierze czułością, gdy go położyć poza gniazdem, nato-

115

miast uzna go za intruza i pożre, jeżeli znajdzie go już w gnieździe, między własnymi dziećmi.

W każdym razie przyjęcie obcego młodego nie gwarantuje bynajmniej, że zostało ono zaadoptowane ostatecznie. Gdyż wśród niższych rzędów ssaków, jak szczury czy myszy, zdarza się bardzo nawet często, że znalezione poza gniazdem małe wywołuje wprawdzie zrazu instynkt wniesienia go do reszty potomstwa, ale kiedy leży już w gnieździe między własnym miotem, zostaje jednak rozpoznane jako intruz i pożarte. Senta zdawała się spieszyć: nie zostawiła sobie nawet czasu, by obwąchać dingo, czy jest, by tak rzec, jej własnej krwi, lecz schyliła się od razu z szeroko otwartą paszczą nad lamentującym dzieckiem, aby je wziąć tym bezbłędnym chwytem, jakim suka

bierze głowę szczenięcia tak głęboko do pyska, że znajduje się ona za kłami i tym sposobem nie ulega zmiążdżeniu. Wtem uderzył ją w nozdrza obcy i dziki odór, który przyniósł dingo z małego oddziału drapieżców w ogrodzie Schönbrunn. Przerażona zachnęła się w tył i odskoczyła o metr, parszkając przy tym i wydychając powietrze otwartą paszczą, plując, prychając jak kot; następnie podeszła znów, ostrożnie węsząc, do małego dingo. Trwało dobrą minutę, nim zbliżyła do niego nos; potem nagle jęła lizać jego futerko zamaszystymi, wysysającymi ruchami języka, które zazwyczaj służą do usunięcia błony porodowej z nowo-

116

rodka. To postępowanie wymaga obszernego komentarza'.

Jeżeli samice ssaków pożerają swój płód zaraz po urodzeniu, co wśród zwierząt domowych, jak na przykład świń czy królików, zdarza się niestety dość często, jest to prawie zawsze błąd w czynności mającej na celu usunięcie błon i łożyska oraz odcięcie pę-1 powiny. Jeżeli młode rodzi się w pęcherzu, matka, zaczyna od tego, by przez ssące lizanie utworzyć fałdkę na błonie, którą następnie siekaczami lekko przegryza otwierając pęcherz. Takie ostrożne gryzienie, ze zmarszczonym nosem i odsłoniętymi siekaczami, przypomina zewnętrznie iskanie się, ruch, jakim psy przeczesują futro w nadziei złowienia pchły. Kiedy błona jest otwarta, matka coraz bardziej wciągają do pyska ssącymi ruchami i z wolna zjada, następnie także łożysko i przyległą doń część pępowiny. Odtąd zaczyna ssać i chrupać coraz ostrożniej, aż wreszcie zostawia wolny koniuszek pępowiny skręcony jak zakończenie kiełbasy. Naturalnie potem działanie musi już ustać, bo inaczej — częste powikłanie u zwierząt domowych — zostanie pożarty nie tylko cały sznur pępowiny, ale otworzy się brzuch małego od pępka począwszy. Miałem samicę królika, która zaprzestała opisanej tu procedury dopiero wtedy, kiedy zeżarła wątrobę swoich małych. Jak wiedzą wieśniacy i hodowcy królików, można temu zapobiec, trzeba zabrać noworodki od matki od razu, po odcięciu pępowiny zaś i oczyszczeniu ich odłożyć z powrotem do gniazda po kilku godzinach, kiedy wygaśnie popęd do pożerania błon i łożyska. Nawet samice ssa-rków, których instynkt jest najzupełniej normalny, zwykły zjadać martwe lub ciężko chore noworodki, aby je usunąć z miotu. Używają wtedy tego

samego sposobu co przy zjadaniu błon i łożyska i dlatego zaczynają pożeranie od okolicy pępka małego. W zoo w Schönbrunnie widziałem tego bardzo do-

117

sądny przykład. Ogród miał wówczas żółto cętkowaną samicę jaguara i czarnego samca, którzy co roku płodzili miot czarnych jak węgiel młodych. Otóż owego roku samica rzuciła jednego tylko jaguarka, a i ten był od początku wątły, chorowity, także profesor Antonius, dyrektor ogrodu, wątpił, czy mały wyżyje. Zastaliśmy jaguaramatkę tym właśnie zajęta, że według kociej modły starannie „myła” swoje chore, prawie dwumiesięczne małe, oblizując je od góry do dołu. Pewna malarka, będąca stałym gościem zoo, stała przed klatką i mówiła ze wzruszeniem, jaką to troskliwość okazuje matka choremu dziecku. Ale Antonius smutno pokręcił głową i powiedział do mnie: „Pytanie egzaminacyjne dla badacza psychologii zwierząt: co się dzieje teraz w jaguarzycy?” Znałem odpowiedź: lizanie było osobliwie nerwowe i pospieszne, miało leciutki odcień ssania, i dwukrotnie zauważyłem, że matka trąciła małego w brzuszek i wyraźnie wycelowała lizanie w okolicę jego pępka.

Odpowiedziałem tedy: „Rozpoczynający się konflikt między macierzyńską powinnością a wzbierającą reakcją pożerania martwego potomstwa.” Niestety mieliśmy rację! Już nazajutrz nie było ani śladu po małym jaguaraku: matka go pożarła.

Wszystko to przypomniało mi się natychmiast, gdy zobaczyłem, w jaki sposób Senta oblizywała małego dingo. I rzeczywiście, już po paru minutach trąciła nosem małego w brzuszek, tak że przewrócił się na wznak, zaczęła lizać dokładnie przy pępku i wkrótce też delikatnie poszczypywać skórę brzuszka. Naturalnie dingo zaczął płakać i krzyczeć. Senta odskoczyła znowu wstecz, jakby uświadamiając sobie: „O Boże, sprawiam ból dziecku!” Najwidoczniej wzięła w niej teraz górę wyzwolona przez krzyk bólu reakcja macierzyńska, czyli „litość”. Senta zrobiła wyraźny ruch, z intencją zanieśienia go teraz do gniazda, w stronę głowy szczenięcia. Ale gdy rozwarła pasz-118

czę, by go wziąć, znów doleciał ją ów zły, obcy odór. Pospieszne lizanie rozpoczęło się znowu, potęgując się powtórnie do lekkiego uszczypnięcia skóry brzuszka, znów

okrzyk bólu dziecka, i przerażona suka odskakuje. Poruszenia Senty stawały się coraz spieszniejsze, gorączkowe, coraz szybciej zmieniały się sprzeczne bodźce: aby zanieść małego do gniazda i aby pożreć niepożądanego, źle pachnącego podrzutka. Widać było wyraźnie, jakie męki duchowe cierpiała biedna Senta. Nagle załamała się pod brzemieniem tego konfliktu wewnętrznego, siadła na zadzie i wyciągnawszy nos ku niebiosom, zawyła.

Wziąłem wtedy nie tylko małego dingo, ale i dzieci Senty, wpakowałem je wszystkie razem do ciasnej skrzynki, którą przystawiłem w kuchni do komina. Tam zostawiłem małe na dwanaście godzin, żeby przewalając się jedno przez drugie „uperfumowały się” wzajemnie. Kiedy nazajutrz rano przyniosłem je Sencie z powrotem, była zrazu w stosunku do wszystkich dzieci nieco krytyczna i zachowywała się dość nerwowo, ale niebawem przeniosła je wszystkie (jak było w programie) do swojej budy, wśród własnych także dingo, nie pierwszego i nie ostatniego. Jednak, rzecz dziwna, później znów rozpoznała w nim obcego. Nie wyrzuciła go wprawdzie i wykarmiła razem z innymi, ale raz poważnie ugryzła go w ucho, tak że n<sup>o</sup> wstała na nim blizna, która na zawsze ściągnęła je kolwiek na bok.

Szkoda, że nie umie mówić! Ale rozumie każde słowo!

Błędem jest sądzić, że zwierzęta domowe są głupsze aniżeli forma dzika, od której pochodzą. Zapewne, zmysły ich przytępiły się pod wieloma względami, zatraciły się niektóre bardziej wyczulone instynkty. Ale to dotyczy także ludzi: i nie ma o tych strat, lecz właśnie dzięki nim człowiek stoi wyżej od zwierzęcia. Zanikanie instynktu, owego sztywnego toru, po którym przebiega znaczna część zachowania się zwierząt, stało się podwaliną pod rozwój określonych, specyficznie ludzkich swobód działania. Również u zwierzęcia domowego rozpad niektórych przyrodzonych sposobów postępowania nie oznacza zmniejszenia się możliwości rozumnego działania, tylko nowe stopnie swobody. Pisze o tym C. O. Whitmann już w roku 1898 — pierwszy, który te sprawy dostrzegał i studiował: „Owe błędy instynktu nie są inteligencją, jeno otwartymi drzwiami, skroś które srogi wychowawca — doświadczenie — dostaje się do środka i dokazuje wszelkich cudów intelektu!”



Do instynktownych, dziedziczonych przez każdy gatunek ruchów należą również „gra wyrazu” oraz wyzwalone przez nią reakcje społeczne. Wszystko, co mają sobie „do powiedzenia” zwierzęta żyjące stadnie, jak kawki, szare gęsi, drapieżce z rodziny 120

'w, odbywa się wyłącznie na płaszczyźnie tych za-czających się na kształt kół zębatych norm akcji reakcji, wrodzonych zwierzętom danego gatunku.

Schenkel zbadał gruntownie w ostatnich czasach grę wyrazu i jej znaczenie u wilków i przeanalizował zagadnienie. Jeżeli porównać „słownictwo” sygnałów, jakim dysponuje wilk dla porozumiewania się swojej społeczności, ze słownictwem naszego psa omowego, to znajdziemy te same zjawiska dezinte-acji i zmniejszania się, co w tylu innych przyrodzo-ych gatunkom sposobach zachowania. Nie będę tem rozstrzygał, czy owe gry wyrazu nie są już szakala mniej wyraziste i dobitne niż u wilka, zwła-cza że jego struktura społeczna jest niewątpliwie jdziej rozwinięta. U psów wilczej krwi, na przykład chow-chow, zachowane są wszelkie formy wyrazu "riego wilka z wyjątkiem tych sygnałów, które wy-

(V

f 7-

o'

-ją się za pomocą ruchów ogona. Zakręcony ogon "-chow nie jest zdolny do takich ruchów po prozę względów technicznych! A jednak chow-chow i e d z i c z y specyficznie wilcze sygnały ruchowe a! Wszystkie zwierzęta z mojej hodowli krzy-ek, które ze strony owczarka odziedziczyły „po " ie dzikiej" normalną kitę, mają typowe wilcze ogona, których nigdy nie widać u owczar-ani u innych potomków canis aureus. dotyczy „gry wyrazu”, mimiki mięśni twarzy, ' i ogona, to niektóre psy mojego chowu są

Mc tadowjcŁ..

121

najbliższe wilka ze wszystkich europejskich psów. Ale i one są pod tym względem uboższe od wilka, chociaż bogatsze od tamtych. Znacem i miłośnikom ras

szakalopochodnych wyda się to paradoksem, gdyż pomyślą przede wszystkim o ekspresji psa w ogóle, nie zaś o w r o d z o n e j, o której tu mówię. W żadnej bowiem innej dziedzinie wyżej przytoczono

na zasada nie ujawnia się tak wyraziście jak w dziedzinie wyrazu: mianowicie zanik wrodzonej nie-odmienności wyrazu zapewnia nowe możliwości „swobodnego tworzenia” zdolnych do przystosowywania się — giętkich — sposobów zachowania. Prawie tak jak wilki, chow-chow także pozostaje ograniczony do takich mimicznych ruchów, jakimi zwierzęta w stanie dzikim komunikują sobie swoje uczucia, jako to: gniew, pokorę, radość. Ruchy te nie ujawniają się jaskrawo, gdyż przeznaczone są do niezmiernie czujnego odbioru przez zwierzęta własnego gatunku. Zdolność tę człowiek mocno zatracił, bo rozporządza dosadniejszym wprawdzie, ale i wyraźniejszym środkiem porozumienia, jakim jest mowa słowna. Nie jest skazany na „odczytywanie z oczu” bliźniego każdej najlżejszej zmiany nastroju, bo może powiedzieć, czego chce. Dlatego większości ludzi dzikie zwierzęta wydają się ubogie mimicznie, chociaż jest właśnie całkiem przeciwnie. Zwłaszcza chow-chow ludziom mającym do czynienia z psami szakalopochodnymi wydaje się wręcz

122

nieprzenikniony! Zdarza się to nieraz Europejczykom w stosunku do rysów Azjatów wschodnich. Wyćwiczonym jednak okiem można wyczytać z mało ruchliwej twarzy wilka lub chow-chow więcej niż z wylewnych porywów uczucia psów szakalopochodnych.

Mimo to te właśnie stoją duchowo znacznie wyżej: są w wielkiej mierze niezależne od cech przyrodzonych: przeważnie zwierzę nauczyło się ich albo samo je wynalazło! Żaden „sztywny” instynkt nie zmusza psa do tego, by na znak miłości kładł swemu panu łeb na kolana. Waśnie dlatego wyraz ów jest bliższy ludzkiej mowy niż wszystko, co mają sobie wzajem do Opowiedzenia dzikie zwierzęta. Jeszcze bliższe ludzkiej mowy jest używanie ru-hów nabytych przez tresurę — jako razu uczuć. Pięknym tego przykładem jest podanie łapki. Uderzająco wiele psów używa tego ru-’u w zupełnie określonej sytuacji wobec swojego la: wtedy mianowicie, gdy chce go zjednać, a zwła-za „przeprosić”. Któż nie widział psa, który

zbroi-coś, czołga się oto ku swemu panu, siada przed i i przypląszczywszy w tył uszy, z miną największej ' kory, kurczowo usiłuje podać mu łapkę? Widzia-raz pudła, który wykonał nawet ten ruch przed tym p s e m, bo się go bał. Ale to rzadki wyjątek: eważnie nawet takie zwierzęta, które stosują wo-swego pana bogaty repertuar znaków porozu-"wawczych indywidualnie przez nie wymyślonych, służą się tylko przyrodzoną im mimiką, gdy zmawiają" z równymi sobie. Można powiedzieć, zdolność swobodnego, wyuczonego albo „wymyś-~go" wyrażania uczuć jest u różnych psów wprost orcjonalna do zmniejszania się właściwej gatun-1 mimiki stanu dzikiego. Pod tym względem więc . najbardziej zdomestyfikowane są w swym zachou najswobodniejsze i najlepiej się przystosowu-

123

ją. Zdanie to jest oczywiście słuszne tylko ogólnie, bo przecież inteligencja indywidualna odgrywa wielką rolę. Szczególnie inteligentny pies, bliski formie dzikiej, może w sprzyjających okolicznościach wynaleźć ładniejsze i bardziej złożone środki porozumienia niż zwierzę bardziej wyzwolone z instynktu, ale głupie. Zanik instynktu jest zawsze tylko drzwiami dla inteligencji, nigdy zaś nią samą. Wszystko, co tu powiedziano o psiej zdolności okazywania swych uczuć człowiekowi, dotyczy, ma się rozumieć, w jeszcze wyższym stopniu jego umiejętności pojmowania ludzkich sygnałów porozumiewania i ludzkiej mowy. Możemy być pewni, że myśliwi, którzy pierwsi weszli w kontakt z półdzikimi lub, dokładnie mówiąc, prawie dzikimi psami, mieli lepsze wyczucie zwierzęcych sygnałów porozumiewawczych niż dzisiejszy mieszczuch. Należało to niejako do ich wykształcenia zawodowego: myśliwy epoki kamienia, który nie poznałby, czy niedźwiedź jaskiniowy jest w niebezpiecznym czy w pokojowym nastroju, byłby tępakiem. Ta zdolność nie jest w człowieku instynktowna, lecz wyuczona; czegoś podobnego wymaga się również od psa, który musi nauczyć się rozumieć ludzką mimikę i ludzką mowę. Przyrodzone zwierzętom jest przecież tylko pojmowanie ekspresywnych ruchów i dźwięków najbliższych gatunków; niedoświadczone psy nie są już zdolne pojąć mimiki drapieżców z rodziny kotów. Wobec tego faktu jest prawdziwym cudem, do jakiego stopnia psy domowe potrafią zgłębić przejawy uczuć

ludzkich. Niewątpliwie zdolność ta znacznie wzrosła przez tysiąclecia domestyfikacji. Jakkolwiek kocham bardzo psy wilkopochodne, a chow-chow w szczególności, nie wątpię wcale, iż wszystkie bardziej zdomestyfikowane psy szakalopochodne znacznie je przewyższają w zdolności „rozumienia” swego pana aż do głębi jego uczuć. Moja owczarka Tito górowała w tym nad

124

wszystkimi swoimi potomkami wilczej krwi. Wiedziała od razu, kto mi jest miły, a kto nie. W miarę możliwości wolałem spośród hodowanych przeze mnie mieszańców te, które odziedziczyły po Tito ową subtelność wyczuwania. Stasi na przykład reagowała na wszelkie moje objawy choroby: przejawiała przy tym swą troskę nie tylko wówczas, gdy miałem lekką gripę czy migrenę, lecz także wtedy, gdy czułem się zdeprimowany z czysto duchowych powodów. Wyrażała to w ten sposób, że w takich przypadkach nie biegała jak zwykle radośnie dokoła, lecz przygnębiona, nieustannie na mnie zerkając, szła przy nodze, i ilekroć przystanąłem, przytulała się barkiem do mego kola-; na. Ciekawe, że tak samo wyglądało jej postępowanie, kiedy z lekka miałem w czubie: Stasi była wówczas moją chorobą tak zrozpaczona, że już to sa-io wystarczyłoby, żeby wyleczyć mnie z pijaństwa, i ybym kiedykolwiek był do niego skłonny. O ile mogę uogólniać doświadczenia poczynione trakcie moich psych znajomości, słusznie stoi na \* ierwszym miejscu w dziedzinie omówionych tu olności tak wychwalany pudel. Po nim „najmą-ejszymi” pod tym względem wydają mi się ow-ki niemieckie, niektóre pinczery, a przede stkim sznaucery olbrzymie [brodacze monachij-se], ale jak na mój gust straciły one za dużo ze swej rwotnej natury dzikiego drapieźcy. Gdyż właśnie skutek ich niezwykłego „uczłowieczenia” brak im ku naturalności, jakim wyróżniają się moje dzikie

"pośród wszystkich znanych mi psów właśnie ucerka biła wszelkie rekordy w rozumieniu ludz-słów. Szeroko rozpowszechnionym błędem mniemanie, że psy rozumieją znaczenie słowa je-e z tonu, są natomiast głuche na samą artykula-  
Poważny psycholog zwierząt Sarris dowiódł tego icie na trzech owczarkach. Trzy psy nazywały się

125

Haris, Aris i Paris. Kiedy pan rozkazywał: „Haris (lub Aris, Paris), idź do koszyczka!” — zawsze bezbłędnie podnosił się tylko zagadnięty i szedł, smutny, lecz posłuszny, na swoje legowisko. Działo to i wówczas, kiedy rozkaz wydawany był z przyległego pokoju, tak że wszelkie nieświadome danie znaku było wyłączone.

Niekiedy wydaje mi się, że pojmowanie słów przez mądrego psa, pozostającego w ścisłym kontakcie ze swoim panem, rozciąga się nawet na całe z d a n i a.

Wypowiedź „teraz muszę już iść” podnosiła od razu na nogi zarówno Tito, jak i Stasi, nawet kiedy się uważnie wystrzegało specjalnej intonacji. Żadne natomiast z tych czterech słów użyte w innym kontekście nie powodowało w ogóle reakcji.

Najbogatszym zasobem wyraźnie i jednoznacznie rozumianych ludzkich słów rozporządzała wspomniana tu już sznaucerka Affi, należąca do pewnej przyjaciółki mojej rodziny. Słowa tej osoby zasługują na całkowitą wiarę i rozumie ona dobrze zwierzęta. Otóż skora do łowów suczka reagowała najwyraźniej odmiennie na wyrazy: „Katzi” (kotek), „Spatzi” (wróbel), „Nazi” (imię jeża) oraz „Eichkatzi” (wiewiórka). Właścicielka psa zatem, nie znając eksperymentów Sarrisa, zastosowała bardzo podobny porządek prób. Na słowo „Katzi” suczka, zjeżywszy grzywę na karku, zaczynała szukać na ziemi w swoistym podnieceniu, odpowiadającym wyraźnie oczekiwaniu na zwierzynę uzbrojoną. Wróble goniła tylko za młodu, a w późniejszym wieku, kiedy zrozumiała ich niedosiężność, spoglądała jedynie za nimi ze znużeniem, ale najwyraźniej szukała wzrokiem wróbla, jeżeli się w pobliżu znajdował, dopóki go nie wykryła. Wyraz „Nazi” nie miał jeszcze wówczas znaczenia politycznego, a nazywały się tak kolejne jeże owej pani, wobec których Affi czuła wrogość, nie znając ich jednak osobiście. Na słowo „Nazi” pędziła zaraz do kopca listowia w ogrodzie, gdzie mie-

126

szkał żyjący na wolności jeż, i zaczynała tam szperać, naszczekując w ten specyficzny, rozzłoszczony sposób, w jaki ujadają wszystkie psy, gdy obskakują znienawidzone, boleśnie kłujące zwierzę. Owo jedyne w swoim rodzaju wysokie jazgotanie zaczynało się z reguły także wtedy, kiedy jeża tam wcale nie było!-Na okrzyk „Eichkatzi!” Affi ze wzburzeniem patrzyła w g ó r ę i, nie widząc wiewiórki,

biegała od drzewa do drzewa. (Jak wiele psów mających słaby węch Affi orientowała się głównie wzrokowo i widziała lepiej i dalej niż większość psów.) Rozumiała także wskazywanie ludzką ręką kierunku, co się nieczęsto psom zdarza. Affi знаła też imiona co najmniej dziewięciu osób i można ją było spokojnie wysłać do danej osoby wymieniając jej imię — nie myliła się nigdy.

Jeżeli te próby wydają się laboratoryjnym psychologom zwierząt wręcz nieprawdopodobne, można tu użyć argumentu, iż zwierzę doświadczalne nie ma w pokoju tak wielu różnorodnych jakościowo przede jak pies swobodnie towarzyszący swojemu panu. "ztuczne skojarzenie określonej, w gruncie rzeczy jzupełniej psu obojętnej, tresury z jakimś okreśło-słowem przychodzi psu oczywiście trudniej niż ojarzenie z bezpośrednio mobilizującymi i naładowanymi znaczeniem pojęciami tak różnorodnej zdo-czy łowieckiej, jak: kot, ptak, jeź, wiewiórka, "aśnie u psa możliwość wspaniałych osiągnięć pojmowaniu słów wykorzystywana jest jedynie ikowo, bo po prostu brak niezbędnych zaintere-rań, czynników zwaloryzowanych w sensie psy-logii zwierząt.

Każdy właściciel psa zna następujący przykład, 'rego złożoność jest w warunkach laboratoryjnych do odtworzenia. Pan powiada, nie akcentując, nie

127

wspominając imienia psa, ba, unikając bodaj nawet s.łowa „pies“: „Nie wiem, czy go zabrać ze sobą?“ Już pies jest obok, ożywiony, wie, że czeka go teraz większy spacer, może zajmujący. Gdyby pan powiedział: „Teraz muszę z nim zejść“ — zwierzę podniosłoby się znudzone i bez oznak radości. Jeśli pan powie teraz: „Ach, co tam, nie zabiorę go jednak“ — nastawione w oczekiwaniu uszy opadną, ale wzrok pozostanie błagalnie skierowany na pana. Kiedy ten zawyrokuje zdecydowanie: „Zostawiam go w domu“ — pies odwróci się obrażony i pójdzie na swoje miejsce. Proszę sobie uświadomić, jak skomplikowany zespół prób, jak mozolna tresura wstępna byłaby niezbędna, aby zreprodukować sztucznie podobne zachowanie się, a jak proste i powszednie jest ono w naturalnym współżyciu pana i psa.

Nigdy nie byłem niestety serdecznie zaprzyjaźniony z żadną z wielkich małp człekokształtnych: o ile mi wiadomo, żaden z zawodowych badaczy tej grupy

zwierząt nie wszedł z żadną jednostką w tak osobiste i przyjacielskie stosunki, jakie są rzeczą powszednią między panem a psem. Zasadniczo nie byłoby to może niemożliwe, przynajmniej w pierwszym roku życia małpy, która niestety, dojrawszy płciowo, staje się zbyt niebezpieczna, by można ją było trzymać na swobodzie.

Właśnie taki najciaśniejszy kontakt między krytycznym przeważnie i doświadczonym naukowo człowiekiem a związanym z nim intensywną wzajemną miłością zwierzęciem jest niezbędnym warunkiem, aby móc ocenić sprawiedliwie i trafnie najwyższe osiągnięcia duchowe zwierzęcia. Przedwczesne jest chyba porównywanie psa z małpą człekokształtną z punktu widzenia roztrząsanych tu osiągnięć. Pozwolę sobie jednakże na pewną tezę: sądzę, iż pies w swej zdolności pojmowania mowy ludzkiej przewyższa nawet wielkie małpy człekokształtne, jakkolwiek by one górować nad nim mogły w dawa-

128

niu różnych innych dowodów inteligencji. Pod jednym bowiem określonym względem jest pies po-dobniejszy do człowieka niż najmędrze małpy: jest tak jak człowiek istotą zdomestyfikowaną i tak samo jak człowiek zawdzięcza domestyfikacji dwie zasadnicze właściwości: po pierwsze — uwolnienie się od schematów zachowania instynktownego, co otworzyło mu, tak jak człowiekowi, nowe możliwości postępowania, po drugie zaś — ową młodzięczość, która jest w nim źródłem jego stałej potrzeby miłości, a w człowieku podtrzymuje młodzięcą otwartość dla świata, która sprawia, że do późnej starości pozostaje kształtującą się istotą.

Zobowiązanie

Miałem kiedyś cudowną książeczkę, zawierającą całkiem zwariowane humoreski — nazywa się Snowshoe Al's Bedtime Stones. Pod maską najwybujałego i najszaleńszego nonsensu ukrywała ową ostrą i nieco okrutną satyrę, jaka nadaje amerykańskiemu humorowi jego specyficzną aurę niełatwą do „rozgryzienia” dla wielu Europejczyków. W jednej z tych historyjek Snowshoe Al opowiada romantyczno--kliwie o bohaterskich czynach swego najlepszego przyjaciela. Dowody nieprawdopodobnej odwagi, przesadnego męstwa i doskonałego

samozaparcia zamieniają się tu w komiczny persyflaż zachodnio-amerykańskiej romantyki, piętczą się i osiągają szczyt w scenach, w których ów bohater w niesłychanie wzruszający sposób ratuje życie przyjacielowi, zagrożonemu przez wilki, niedźwiedzie szare (grizli), głód, mróz i kilka jeszcze innych niebezpieczeństw. Po czym historia kończy się krótkim zdaniem: „Przy tym jednak odmroził sobie obydwie nogi tak bardzo, że musiałem go niestety zastrzelić.”

Przypomina mi się to często, kiedy ktoś opowiada mi o właściwościach i czynach swego wiernego psa. Gdy potem zapytać, czy ma tego psa jeszcze, słyszy

130

się aż nazbyt często dziwną odpowiedź: „Nie, musiałem go oddać, bo przenieśliśmy się do innego miasta... do mniejszego mieszkania... dostałem posadę, na której było mi trudno mieć psa...” Zdumiewające w tym jest, że wielu skądinąd moralnie bez zarzutu ludzi najwidoczniej nie odczuwa wstydu, przyznając się do podobnego postępowania! Po prostu nie czują tego, że między ich postępkami a przedmiotem szyderstwa w owej humoresce nie ma najdrobniejszej różnicy! Bo zwierzę nie ma praw, nie tylko według litery prawa, lecz także w „odczuciu” wielu ludzi.

Wierność psa jest cennym podarunkiem, który nakłada nie mniejsze zobowiązania aniżeli przyjaźń człowieka! Związek z wiernym psem jest tak „wieczny”, jak w ogóle mogą być trwałe związki istot żywych na tej ziemi. Niechaj pamięta o tym każdy, kto bierze sobie psa. Może się też czasami zdarzyć, że człowiek pozyska sobie wierność psa zupełnie mimo woli. I tak na jakiejś wycieczce narciarskiej poznałem hanowerskiego wyżła imieniem Hirschmann. Miał wówczas około roku i był w typie bezpieczeństwa psa. Jego właściciel, nadleśniczy, niezwykle kochał swego starego wyżła ostrowłosego i mało miał serca dla młodego trzpiota, który może naprawdę niezbyt nadawał się do polowania. Hirschmann był bardzo czuły i uczuciowy, a wobec swego pana także nieco bojaźliwy, co niezbyt dobrze świadczyło o talentach wychowawczych nadleśniczego. Z drugiej znów strony nie uważałem za dodatnią cechę charakteru tego, że pies już na drugi dzień naszego tam pobytu towarzyszył nam w dłuższej wyprawie. Uznałem, bardzo zresztą niesłusznie, iż jest to „lizus”, tymczasem niebawem okazało się, że nie pobiegł za nami, tylko z a mną. Gdy go



pewnego ranka zastałem śpiącego pod drzwiami mego pokoju, stałem się bardziej powściągliwy, bo przeczułem, że zaczyna tu kiełkować wielka psia miłość.

131

Ale było za późno: przysięga na wierność została już złożona. Podczas naszego odjazdu tragedia stała się widoczna. Kiedy chciałem psa schwycić i powstrzymać, żeby znów za nami nie pobiegł, Hirschmann mnie nie posłuchał. Z podkulonym ogonem, dygocąc ze wzburzenia, stał w bezpiecznej odległości, a jego bursztynowe oczy mówiły: „Możesz mi wszystko rozkazać, tylko nie to, żebym cię opuścił!” Skapitulowałem. „Panie nadleśniczy, ile pan chce za niego?” Nadleśniczy, z którego punktu widzenia zachowanie się Hirschemanna było czystą dezercją, odpowiedział bez sekundy namysłu: „Dziesięć szylingów!” Brzmiało to jak obelga i tak też było pomyślane. Zanim się opamiętał, miał już pieniądze w garści, i trzy pary nart oraz dwie pary psich łap ruszyły kłapiąc.

Wiedziałem, że Hirschmann pójdzie za mną, ale przypuszczałem mylnie, że z początku, mając jeszcze nieczyste sumienie, będzie się skradał za nami w wielkiej odległości, przejęty świadomością, że tego mu nie wolno. Stało się inaczej. Jak pocisk armatni

132

trafił mnie skok z rozpędu krzepkiego psa i rąbnąłem biodrem o lód na drodze, bo równowaga narciarza wobec naskakującego z boku dużego psa jest niewielka. Ale Hirschmann wykonywał już taniec radości na moich wyciągniętych jak długie zwłokach. Stanowczo nie doceniłem jego orientacji!

Zwykłem traktować bardzo poważnie zobowiązanie, jakie nakłada na człowieka psia wierność, i jestem dumny z tego, że raz naraziłem życie, by uratować psa, kiedy przy dwudziestu ośmiu stopniach poniżej zera znalazłem się w Dunaju, aczkolwiek nie dobrowolnie. Mój owczarek Bingo biegł brzegiem rzeki, pośliznął się i wpadł do wody. Ponieważ jego pazury nie znajdowały zaczepienia na lodzie, nie mógł się wydostać. Jak wiadomo, psy zadziwiająco szybko wyczerpują się, tracąc siły przy próbach wspięcia się na niedostępny brzeg. Wpadają w niepomyślną coraz bardziej pionową pozycję pływacką, i bardzo prędko zaczyna im grozić utonięcie.

Przebiegłem więc kilka metrów z prądem, wyprzedzając psa, położyłem się i czołgając się na brzuchu dotarłem na krawędź lodu. Kiedy pies znalazł się w zasięgu mego ramienia, chwyciłem go za kark i wyszarpnąłem do siebie, na lód. Lód jednak załamał się

133

pod naszym ciężarem i zjechałem bezdźwięcznie, głową na dół, w zimną wodę. \_ Psu, który w przeciwieństwie do mnie zwrócony był głową w górę, udało się dostać na trwały lód. I oto sytuacja się odwróciła. Teraz Bingo, przejęty i pełen rozumnej troski, biegł wzdłuż brzegu skomląc, a ja płynąłem z prądem. Ponieważ jednak ręka ludzka jest znacznie bardziej przystosowana do wspinania się po gładkiej powierzchni aniżeli pazurzasta łapa psa, uszedłem złemu losowi o własnych siłach. Poczawszy grunt pod stopami, odbiłem się od dna i górną połową ciała rzuciłem się na lód. Morale ludzi z nami zaprzyjaźnionych osądzamy potocznie według tego, który z nich gotów jest ponieść większą ofiarę, nie myśląc przy tym o rewanzu. Nietzsche, dla którego — w przeciwieństwie do większości ludzi — bestialstwo jest jedynie maską, pod którą kryje się prawdziwa dobroć serca, powiedział te piękne słowa: „Niech będzie twą ambicją zawsze kochać bardziej niżli ten drugi: nigdy nie być drugim!” Wobec ludzi może mi się niekiedy udaje spełnić to przykazanie, natomiast w stosunku do mego wiernego psa zawsze jestem „tym drugim”. Cóż to za dziwny, ba, niepowtarzalny stosunek współzycia! Czy się kto kiedy zastanowił, jakie to zadziwiające wszystko? Człowiek, istota rozumna, ze swoją wysoką odpowiedzialnością moralną, człowiek, którego najpiękniejszym, najszlachetniejszym wyznaniem wiary jest religia miłości

134

bliźniego, pozostaje, właśnie w zdolności do najczystszej samozaparcia, w tyle... za dzikim zwierzęciem! Wiem dokładnie, co mówię, nie dopuszczam się tu grzechu sentymentalnej antro-pomorfizacji. Najszlachetniejsza miłość człowieka wypływa przecież także nie z rozsądku i specyficznie ludzkiej rozumującej moralności, lecz ze znacznie głębszych, prastarych, czysto uczuciowych (a to znaczy tyle co instynktownych) pokładów. Bo nawet najnieskazitelniejsze i pełne samozaparcia

postępowanie moralne traci w naszym poczuciu wszelką wartość, jeśli nie wypływa z takich pobudek, tylko z rozsądku. „Lecz nie zdołacie "serca z sercem sklecić, póki wam słowo z serca nie wytrysło." Ale to serce właśnie pozostało u ludzi po dziś dzień takie samo jak u wyższych grup zwierząt, choćby nie wiadomo na jak wielką odległość kosmiczną osiągnięcia ich rozumu, a wraz z nimi — rozumującej moralności, wysunęły się ponad wszelkie, najwyżej nawet rozwinięte zwierzęta. Prosty fakt, że mój pies kocha mnie bardziej niż ja jego, jest niezaprzeczalny i napełnia mnie zawsze niejakim zawstydzeniem. Pies jest każdej chwili gotów oddać za mnie życie. Gdyby groził mi atak lwa czy tygrysa, Ali, Bully, Tito, Stasi i jak się one tam wszystkie nazywały, nie wahałyby się ani przez mgnienie podjąć beznadziejnej walki, by mi przedłużyć żywot bodaj o parę sekund. A ja?

Kanikuła

Niechaj sobie „kanikuła” — „psia gwiazda”, wiąże swą gwiazdę z Grekami i Syriuszem; ja biorę ją dosłownie. Kiedy bowiem „ma się już potąd” pracy umysłowej, kiedy ma się po dziurki w nosie rozsądnych słów i grzeczności, kiedy nieprzewyciężony wstręt ogarnia człowieka na sam widok maszyny do pisania — które to objawy zwykły występować pod koniec semestru letniego — wówczas „schodzę na psy”, czy dokładniej mówiąc, „na zwierzę”. Unikam ludzi i szukam towarzystwa zwierząt, a to dlatego że nie znam człowieka tak leniwego duchowo, by mógł mi w tym nastroju dotrzymać kompanii. Mam nieoceniony dar całkowitego wyłączania, pomimo doskonałego samopoczucia, procesów myślowych. To niezbędny warunek, by się znaleźć w takim błogostanie, jak owe przysłowiowe „pięćset macior” Goethego. Kiedy w upalny letni dzień płynę Dunajem, a potem na dalekich łęgach, w zaśnionym odgałęzieniu głównego nurtu, leżę sobie, jak krokodyl w szlamie, w jakimś prapejzażu, gdzie najmniejszy bodaj znak nie wskazuje na istnienie ludzkiej cywilizacji, udaje mi się czasami dokonać cudu, do którego dążą jako do najwyższego celu najwięksi mędrcy wschodni: moja myśl, bez zapadania w sen nawet, roztapia

136

się w otaczającej przyrodzie, czas staje, nic już nie oznacza, a kiedy słońce zachodzi i

przedwieczorny chłód przypomina o powrocie do domu, nie wiem, czy przeminęły sekundy czy lata. Ta zwierzęca nirwana jest najlepszą odtrutką na pracę umysłową, prawdziwym balsamem na wiele otartych do krwi miejsc duszy zapędzonego współczesnego człowieka. Najlepiej udaje mi się takie uzdrawiające pogrążenie się w praludzki raj w towarzystwie istoty przebywającej jeszcze siłą rzeczy we własnym raju — a więc psa. Istnieją zatem całkiem określone przyczyny, dla których potrzebny mi jest pies, co wiernie mi towarzyszy, wygląda jak dzikie zwierzę i nie psuje dzikiego pejzażu swoją powierzchownością...

Wczoraj rano było już o brzasku tak gorąco, że robota — praca umysłowa — zdawała się beznadziejna; nadciągał wymarzony naddunajski dzionek.

Wychodzę z pokoju, uzbrojony w siatkę i bańkę, bo z każdej wycieczki nad Dunaj zwykłem przynosić wieczorem żywy pokarm dla ryb. Jak zwykle przedmioty te są dla Susi niezawodnym sygnałem, że rozpoczyna się psi, szczęśliwy psi dzień! Jest przekonana, że taką ekspedycję nad Dunaj przedsięwzię

137

wyłącznie dla niej, w czym nie tak znów zupełnie się myli. Wie, że nie tylko „wolno” jej towarzyszyć mi, ale że niezmiernie sobie cenię jej towarzystwo. Mimo to na wszelki wypadek pierwsza przeciska się między moimi nogami ku bramie, abym jej czasem nie zostawił w domu. Następnie drepce przede mną z wysoko zadartą puszystą kitą po wiejskiej drodze, tanecznym i przesadnie elastycznym kroczkiem: musi przecież pokazać wszystkim psom we wsi, że się ich nie boi, nawet kiedy nie ma przy niej Wolfa II. Ze szkaradnym kundlem sklepikarza towarów mieszanych (spodziewam się, że nigdy nie przeczyta tej książki! Mam na myśli sklepikarza, nie psa!) poflirtowała krótko. Gdyż Susi, ku najgłębszemu oburzeniu Wolfa II, kocha nade wszystko tego łaciatego mieszańca. Ale dzisiaj nie ma dla niego czasu, i kiedy ten chce się bawić, Susi marszczy nos i pokazuje swoje olśniewająco białe zęby, zanim pokłusuje dalej, by przepisowo obwar-kiwać różnych wrogów za różnymi płotami.

Droga wiejska leży jeszcze w cieniu i jej twarda nawierzchnia jest zimna pod moimi

stopami, ale już głęboki kurz drogi polnej za nasypem kolejowym wciska mi się błogim ciepłem między palce nóg. Na śladach kłusującej przede mną suczki, wzbity kurz stoi małymi obłoczkami w spokojnym powietrzu. Pasikoniki i cykady ćwierkają — już! — a na pobliskiej łące śpiewa wilga i piegza. Bogu dzięki, że j e s z c z e śpiewają, że lato jest jeszcze młode.

Droga prowadzi przez świeżo skoszoną łąkę, Susi zbacza, bo to przecież sławetna łąka myszy. Hus Susi zamienia się w dziwne skradanie się na sztywnych łapach, głowa uniesiona wysoko, wyraz twarzy zdradza najwyższe napięcie, ogon kłoni się nisko, wyprostowany ku tyłowi opada ku ziemi. Susi wygląda jak niebieski lis, który „wypadł” za okrągły.

Nagle stromym łukiem wylatuje w przód, prawie na metr wysoko, a dobre dwa metry daleko. Spada 138

na równo wyciągnięte w przód i złączone przednie łapy i gryzie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stąpnęła, krótką trawę. Słysząc, jak jej szpiczasty nos wwierca się z sapaniem w ziemię, po czym Susi podnosi głowę oraz ogon i ogląda się na mnie, merdając nim, z zawstydzonym uśmiechem: nie ma myszy! Nikt mi nie wmówi, że Susi się do pewnego stopnia nie „wstydzi”, gdy jej wielki skok chybia celu, i że nie jest dumna, gdy złapie mysz.

Także następne cztery susy spudłowały... Myszy polne są bowiem niewiarygodnie szybkie i zręczne. Ale teraz — Susi wylatuje w górę niczym rzucona piłka gumowa, a kiedy jej łapy znów sięgają gruntu, rozlega się wysoki, ostry pisk. Suka, kłapnąwszy zębami, ciska z rozmachem to, co złapała. Malutkie szare ciało zatacza łuk w powietrzu, Susi — wyższym łukiem — za nim; kilkakrotnie chwytając siekaczami, odsłoniwszy dziąsła, coś piszczącego i trzepoczącego się w trawie. Następnie zwraca się ku mnie i pokazuje mi mocno zdefasonowaną dużą, tłustą mysz polną, którą trzyma w pysku. Podziwiam ją należycie i zapewniam, że jest groźnym i postrach budzącym zwierzęciem, przed którym należy mieć respekt. Bardzo mi żal myszy, ale nie znałem jej osobiście, podczas gdy Susi to moja serdeczna przyjaciółka, której triumfami jestem po prostu obowiązany się cieszyć. Zawsze uspokaja to moje sumienie, że Susi tę mysz pożera, bo to stanowi jedyne usprawiedliwienie, ja-

/

139

kie być może, dla zabijania. Suka miażdży mysz siekaczami, robiąc z niej bezkształtną, lecz jeszcze zwartą miazgę, po czym bierze ją głęboko do paszczy i tam rozdrabnia i stopniowo połyka. Następnie ma chwilowo dość polowania na myszy, więc proponuje mi, żebyśmy szli dalej.

Nasza droga prowadzi ku rzece, gdzie się rozbieram i chowam siatkę, bańkę oraz odzież. Potem idziemy w górę rzeki, starą ścieżką „holową”, to znaczy przeznaczoną dla koni, które w dawnych czasach ciągnęły, to znaczy holowały w górę rzeki ładowne nawy. Obecnie droga zarosła gęsto, została wąziutka ścieżka skroś dzikiej dżungli wikliny kanadyjskiej (solidago), niemiło przeplatanej pokrzywą i krzakami jeżyn, tak że potrzeba obojga ramion, aby tę kłującą i piekącą wegetację utrzymać z dala od skóry.

Wilgotny żar w tej gęstwie roślin jest nie do wytrzymania. Susi depcze mi po piętach, dysząc, nie zainteresowana żadnymi pokusami łowieckimi, jakie nastęrcza ta puszcza. Nareszcie dotarliśmy do miejsca, w którym chcę przebyć nurt. Szeroka, jasna ławica żwiru rozpościera się tu przy niskim stanie wody, sięgając aż daleko w Dunaj. Podczas gdy bosymi stopami brnę po palącym żwirze, Susi radośnie wybiega naprzód, ku wodzie, wchodzi w nią aż do piersi i kładzie się, tak że tylko jej gruby łebek sterczy z nurtów — kanciasta, drobna forma na tle wielkiego zwierciadła wód. Kiedy brodzę, wchodząc w nurt, Susi wchodzi tuż--tuż za mną, skomląc cicho. Nigdy nie płynęła jeszcze przez rzekę i boi się trochę jej szerokości. Przemawiam do niej, dodając jej otuchy, i brnę dalej. Gdy mnie woda sięga do kolan, Susi musi już płynąć, prąd mocno ją znosi. Aby więc oszczędzić jej wysiłku, zaczynam także płynąć. I to, że mnie także prąd znosi w dół rzeki, najwidoczniej ją uspokaja, płynie tedy obok mnie, grzecznie i wiernie.

140

Od psa, który płynie ze swoim panem, wymaga się pewnego określonego dowodu inteligencji. Człowiek mianowicie płynąc nie znajduje się w wodzie w pozycji pionowej, co jest dla psa

niezwykle, wiele psów więc nie może tego nigdy zrozumieć. Dlatego starają się płynąć tuż za nim, to jest za wystającą z wody głową ludzką, przy czym okropnie rozdrapują przednimi, wiosłującymi łapami plecy swego pana. Susi natomiast podczas pływania natychmiast rozumiała odmienną pozycję ludzkiego ciała i starannie unika zbliżania się do mnie od tyłu. Teraz, kiedy lęka się na szerokiej rzece, płynie jak najbliżej mnie, bokiem. Raz trwoga jej staje się tak silna, że uniósłszy się z wody, ogląda się na brzeg, od którego płyniemy. Już się przestraszyłem, że zawróci, ale znów się uspokaja.

Niebawem jednak daje się zauważyć coś innego — niedobrego. W niepokoju i staraniu, by czym prędzej mieć za sobą tę niesamowitą, rozległą płaszczyznę rzeki, Susi bierze tempo, które jest dla mnie na dłuższą metę za szybkie. Męczę się, zasapany, by jej dotrzymać kroku, ale wyprzedziła mnie i oddała się coraz bardziej. Nic bym sobie z tego nie robił, gdyby wylądowała znacznie wcześniej ode mnie na drugim brzegu. Ale Susi znów tego nie chce, bo kiedy znajdzie się o kilka metrów ode mnie, zawraca i płynie ku mnie z powrotem. Przy tym widzi jednak brzeg ojczysty, zachodzi więc niebezpieczeństwo, że tam popłynie, bo dla zwierzęcia, które się trwoży, kierunek ku domowi ma olbrzymią przewagę nad każdym innym.

141

Psom jest w ogóle trudno zmienić kierunek, kiedy płyną. Dlatego jestem rad, że mi się udało skłonić suczkę do ponownego zwrotu. Teraz bardzo się starałem pozostawać dość blisko Susi, by okrzykami utrzymywać ją bez zmian we właściwym kierunku, ilekroć gotuje się zawrócić. To, że w ogóle r o z u -m i e takie okrzyki i daje się nimi powodować, jest nowym dowodem jej nieprzeciętnej inteligencji.

Łądujemy — Susi o wiele metrów przede mną — na ławicy piasku o bardziej stromym zboczu niż ta, z którejśmy odpłynęli. Kiedy Susi wychodzi z wody, widzę, jak przy pierwszych krokach na łodzi wyraźnie się chwieje. To małe, mijające po paru sekundach zaburzenie równowagi po dłuższym pływaniu znam dobrze z własnego doświadczenia, wielu dobrych pływaków potwierdza też tę moją obserwację, dla której nie znam jednak rozsądnego fizjologicznego wytłumaczenia. Zjawisko tonie ma

z pewnością nic wspólnego z wyczerpaniem, czego Susi niezwłocznie mi dowiodła, bo z radosną ulgą, że niemiła przeprawa szczęśliwie się zakończyła, zaczyna szaleńcze płasy, dostaje „ataku biegania”, zakreślając dokoła mnie ciasne ósemki, po czym przynosi 142

mi grubą gałąź, żądając rzutów „aportowych”, czemu bardzo chętnie czynię zadość. Kiedy zmęczyła się zabawą, zaczyna gnać w największym tempie za kurką wodną, która siedzi na brzegu o pięćdziesiąt metrów od nas. Naturalnie Susi wie, że ptaka nie dogoni, ale wie również, że kurka wodna zwykła latać wzdłuż wybrzeża i znów siadać po kilku tuzinach metrów, tak że można doskonale używać jej jako wodzireja do małego galopu myśliwskiego.

Cieszy mnie, że moja mała przyjaciółka jest w tak świetnym nastroju, bo będzie mogła teraz towarzyszyć mi raz po raz na wyprawach z pływaniem. Ale muszę ją w miarę możliwości nagrodzić za pierwsze przepłynięcie Dunaju. Nie mogę tego uczynić skuteczniej niż robiąc z nią długi spacer przez dziewicze knieje nadbrzeżnych lasów. Zrazu wędrujemy wzdłuż rzeki, w górę prądu, następnie idziemy z biegiem jej odgałęzienia, które ma w dolnych odcinkach spokojną, głęboką i przejrzystą wodę, a w górze swej rozpada się na szereg coraz płytszych i rzadziej położonych sadzawek. Taka odnoga Dunaju sprawia wrażenie dziwnie tropikalne: nie uregulowane brzegi spadają stromo, niemal pionowo w dół, obstawione typowym nadwodnym lasem: wysokie wierzby, topole, dęby, mię-

143

dzy którymi obficie wybujała dzika winorośl udaje liany. Zimorodki i wilgi — charakterystyczne dla tego właśnie pejzażu — należą do grupy ptaków, której ogromna większość gatunków zamieszkuje tropiki. W wodzie pleni się roślinność bagienna. Tropikalny jest również zalegający ten cudowny pejzaż wilgotny upał, który znieść może z godnością jedynie nagi człowiek; a wreszcie, co tu ukrywać, komary zwykłe i malaryczne oraz niezliczone bąki walnie przyczyniają się do spotęgowania owego wrażenia tropików także od tej ujemnej ich strony.

W szerokich koleinach szlamu, ujmujących Dunaj po obu brzegach, trwają, jak odlane w gipsie, ślady przeróżnych mieszkańców łągów. Któż twierdził, że nie ma tu



już jeleni? Po śladach sądząc, żyją w tych lasach jeszcze liczne wielkie jelenie, a jeśli ich nie słyhać w okresach rykowisk, to dlatego, że przytały się gdzieś po niebezpieczeństwach i rozterkach ostatniej wojny, która pod koniec dała się tu we znaki. Sarna i lis, szczur piżmowy i mniejsze gryzonie, niezliczone biegusy, brodźcei piaskowce ozdobiły szlam zawyłymi łańcuchami swych tropów. I jeżeli już mojemu oku opowiadają te ślady najciekawsze historie, to cóż dopiero nosowi mojej małej suczki! Pławi się w orgiach węchowych, o jakich my, biedne, beznose stwory, nie mamy najmniejszego pojęcia! Tropy jeleni i sarn wcale jej nie obchodzą, bo Susi nie jest namiętą łowczynią grubego zwierza, snadź dlatego, że tak całkowicie opętała ją pasja polowania na myszy.

Lecz ślady szczura piżmowego — to inna sprawa! Skradając się z przejęciem, z nosem przy ziemi, z wyprostowanym skośnie ku górze ogonem, idzie tro-144 pem, aż znajdzie wejście do nory, które wobec niezwykle niskiego stanu wody znajduje się nad powierzchnią, zamiast jak zwykle pod nią. Susi wsuwa głowę w sitowie najdalej, jak tylko może, i chciwie wchłania odurzającą najwidoczniej woń zwierzyny. Podejmuje nawet beznadziejną próbę odkopania nory; nie przeciwdziałam temu, bo leżę jak długi na brzuchu, w wysokiej na dłoń letniej wodzie, słońce praży mnie w plecy i wcale mi nie spieszo w dalszą drogę. Wreszcie Susi zwraca ku mnie oblepioną ziemią twarzyczkę, macha ogonem, przychodzi ziając i kładzie się koło mnie w wodzie.

Tak leżymy prawie godzinę, po czym Susi wstaje i prosi mnie, żeby pójść dalej. Idziemy w górę coraz bardziej wysychającego koryta odnogi i tam, kiedy skręcamy właśnie, i odsłania się nam widok na nowy stawek, Susi ma wielkie przeżycie: nad stawkiem siedzi, nic jeszcze nie przeczuwając, bo wiatr wieje ku nam, ogromny szczur piżmowy, ideał najśmielszych snów Susi — mysz bożek, mysz niesłychanych rozmiarów! Susi zastyga w miejscu, ja także. Następnie zaczyna, wolno niczym kameleon, stawiając nogę za nogą, podkradać się ku cudownej myszy. Podchodzi zdumiewająco blisko, prawie na pół drogi dzielącej nas od szczura. Jest to niezmiernie emocjonujące, bo istnieje poważna szansa, że spłoszony szczur skoczy do wody, a stawek zapadł się nisko w zwirowate dno koryta rzeki i nie ma z niego

wyjścia. Nora leży na pewno i tutaj o kilka metrów od wody, na wysokości jej normalnego poziomu

Ale nie doceniłem inteligencji wielkiego gryzonia. .. Ten nagle ujrzał psa i błyskawicznie zmyka po tafli szlamu w stronę brzegu. Susi za nim, na kształt rakiety, i — bardzo mądrze, nie prosto na zdobycz, ale w kierunku, z którego może przeciąć szczurowi drogę. Susi krzyczy przy tym krzykiem najwyższej na-

7 - I tak człowiek... 145

miętności, jakiego chyba nigdy u psa nie słyszałem. Jednakże gdyby nie krzyczała, tylko wszystkie siły obróciła na bieg, szczur stałby się jej zdobyczą, bo w odległości ledwie pół metra od niej — znika w swej norze. Susi węszy tęsknie u wejścia małej pieczary, potem odchodzi rozczarowana i wraca do mnie do wody. Oboje czujemy, że dzień ten nie przyniesie nam już więcej ważniejszych punktów kulminacyjnych.

Wilga śpiewa, żaby grają, wielkie ważki z suchym szelestem szklanych skrzydełek gonią dokuczające nam gzy — oby ich złowiły jak najwięcej! Leżymy tak całe popołudnie, to w wodzie, to nad wodą, i udaje mi się być bardziej zwierzęcym niż zwierzę, lub przynajmniej bardziej leniwym niż mój pies, leniwym jak krokodyl.

Ale stopniowo przykrzy się to Susi. Z braku lepszego pomysłu zaczyna gonić żaby, które, rozzuchwalone długim bezruchem, krzątają się dookoła. Susi podkrada się do najbliższej żaby i wreszcie usiłuje złowić ją swoim wielkim „mysim” susem. Może nawet trafia żabę przednimi łapami w głowę, ale ponieważ woda nie daje stałego oporu, żabie nic się nie stało, i nurkuje sobie precz. Susi wytrząsa wodę z oczu i ogląda się, gdzie też podziała się żaba. Wtem widzi ją — lub tak przynajmniej sądzi — bo sterczący pośrodku sadzawki z wody pęd mięsistego wodorostu jest dla słabego oka psa dość podobny do spokojnie siedzącej żaby. Susi, przekrzywiając łebek najpierw w prawo, potem w lewo, ogląda tę rzecz, po czym podpływa do rośliny, gryzie ją i płaczkliwie ogląda się na mnie, czy się czasem nie śmieję z jej kompromitacji. Następnie płynie do brzegu i kładzie się przy mnie. Wtedy mówię: „Idziemy do domu?” Susi już się zrywa i wyraża wszelkimi dostępnymi jej środkami zgodę. Torujemy sobie drogę skroś dżungli i daleko nad Altenbergiem wchodzimy w wodę. Susi nie 146

wykazuje już lęku. Płynie spokojnie i powoli obok mnie w dół nurtu i pozwala się znosić wodzie.

Ładujemy tuż przy miejscu, gdzie zostawiłem ubranie, siatkę i bańkę. Szybko postarawszy się jeszcze o obfitą wieczerzę z najbliższej sadzawki dla moich rybek, ruszamy o zapadającym zmierzchu tą samą drogą, którą przyszliśmy. Na mysiej łące Susi odnosi ogromny sukces: łapie kolejno raz po raz trzy grube myszy polne, i tym sposobem chyba powetowała sobie porażkę ze szczurem piżmowym i żabą.

### Zwierzę z sumieniem

Wszystkie instynktowne impulsy dzikiego zwierzęcia są tego rodzaju, że w ostatecznym wyniku muszą obracać się na dobro własne i całego jego gatunku. Nie ma w jego życiu konfliktu między naturalnymi skłonnościami a „powinnością”: każdy bodziec wewnętrzny jest „dobry”. Tę rajską harmonię człowiek już zatracił. Specyficznie ludzkie osiągnięcia, mowa słowna, pojęciowe myślenie, umożliwiają gromadzenie i przekazywanie za pomocą tradycji zasobów wspólnej wiedzy.

Wynikający stąd rozwój dziejowy ludzkości odbywa się wielokrotnie szybciej aniżeli czysto organiczny, filogenetyczny rozwój wszystkich pozostałych istot żywych.

Instynkty jednak, wrodzone sposoby akcji i reakcji człowieka, pozostały związane ze znacznie powolniejszym tempem rozwoju organów, toteż nie mogły dotrzymać kroku kulturowo-historycznemu rozwojowi człowieka: owe „naturalne skłonności” bowiem niezupełnie już pasują do warunków kultury, w jakie przeniósł się człowiek dzięki swoim zdobyczom duchowym. Nie jest on zły od młodości, nie dość jednakże dobry jak na wymogi kulturalnego społeczeństwa ludzkiego, które sam stworzył. Inaczej niż dzikie zwierzęta, człowiek kultury ■— a w tym sensie są wszyscy ludzie istotami kulturalnymi — nie polega już wyłącznie na włas-

148

nych bodźcach instynktu. Wiele z nich tak jawnie przeczy wymogom społeczności ludzkiej, że nawet najnaiwniejszy obserwator z miejsca rozpoznaje w nich wrogów kultury i ludzkości. Głos instynktu, któremu dzikie zwierzę w swoim naturalnym środowisku daje bez zastrzeżeń posłuch, doradza mu jednak zawsze tylko dobro indywidualne i gatunku, natomiast u człowieka bywa to aż nazbyt często zgubny

podszep, tym niebezpieczniejszy, że przemawia do nas w tym samym języku, w którym ujawniają się i inne impulsy, takie, którym i dziś nie tylko powinniśmy, lecz musimy być posłuszni. Dlatego człowiek jest zmuszony za pomocą myślenia pojęciami sprawdzać każdy poszczególny bodziec instynktu, czy można mu ulec, nie szkodząc wartościom kultury, które sam stworzył. Wprawdzie dla owoców z drzewa poznania człowiek opuścił raj zwierzęco-bezpiecznego, instynktownego przystosowania do pewnej szczupłej przestrzeni życiowej, ale te owoce właśnie umożliwiły mu rozszerzenie owej przestrzeni życiowej na cały świat oraz to, że każdej chwili może zadawać sobie pytanie: Czy wolno mi ulec skłonności, jaka mnie akurat naszła? Czy nie narażam tym najwyższych wartości społeczeństwa ludzkiego? Co by było, gdyby wszyscy czynili to, do czego mnie w tym momencie ciągnie? Albo — formułując za Kantem, lecz biologicznie: Czy mogę podnieść maksymę mego postępowania do rangi powszechnie obowiązującego prawa natury?

Każda prawdziwa moralność, rozumiana w najwyższym ludzkim sensie, stawia na pierwszym planie osiągnięcia duchowe, do czego żadne zwierzę nie jest zdolne. Ale znów odpowiedzialność nie byłaby mo-żebna bez ściśle określonych podstaw uczuciowych. Także w człowieku zakorzeniona jest ona mocno — w głębokich, instynktownych „pokładach” jego życia wewnętrznego. Nie wszystko, co aprobeuje chłodny rozsądek, wolno człowiekowi czynić. Nawet

149

jeżeli etyczne motywy jego postępowania będą na wskroś nieskazitelne, może się zdarzyć, że uczucie sprzeciwi się niedwuznacznie. Biada temu, kto wówczas posłucha rozsądku, a nie uczucia. Przykładem niech będzie pewna historyjka. Przed wielu laty musiałem pielęgnować młode pytony w Instytucie Zoologicznym; zwykły one jadać martwe myszy i szczury. Ponieważ więc szczury łatwiej hodować niż myszy, byłoby rozsądniej karmić je szczurami, ale wtedy musiałbym zabijać młode szczury. Otóż młode szczury, wielkości myszy domowej, ze swymi grubymi łebkami, wielkookie, o krótkich, grubych łapkach i dziecięco niezręcznych ruchach, mają w sobie wszystko to, co w młodych zwierzętach i malutkich dzieciach tak wzruszająco przemawia do naszych uczuć. Nie chciałem tedy brać się do tych

szczurów. Dopiero kiedy pogłowie myszy w instytucie było zdziesiątkowane, zadałem sobie pytanie, które sprawiło, że serce moje stwardniało: Czy jestem właściwie eksperymentującym zoologiem, czy sentymentalną starą panną — zabiłem sześć szczurów i dałem je moim pytonom. Z punktu widzenia Kantowskiej moralności czyn ten był całkowicie odpowiedzialny. Według rozumu nie jest też niegodzi-wiej zabić młodego szczura niż starą mysz. Ale uczucie o to nie dba. Musiałem ciężko odpokutować za to, że nie usłuchałem jego głosu, który mi to odradzał! Co najmniej przez tydzień, noc w noc, śniło mi się to wydarzenie. Młode szczury ukazywały się, były jeszcze o wiele miłsze niż w rzeczywistości, przybierały wyraźnie rysy ludzkich niemowląt, krzyczały ludzkim głosem i po prostu nie chciały umierać, ilekolwiek razy ciskałbym je o ziemię (jest to bowiem szybka i bezbolesna metoda uśmiercania takich drobnych stworzeń). Bez wątpienia uszczerbek psychiczny, jakiego sobie napytałem zabijając te miłe szcurki, przyprawił mnie omalże o małą nerwicę.

150

Tak pouczony, nie wstydzilem się już nigdy więcej być sentymentalny i dawać posłuch zahamowaniom natury uczuciowej.

Ta forma sknichy, zakorzenionej głęboko w uczuciowości, ma również odpowiedniki w życiu wewnętrznym wysoko uorganizowanych, żyjących w społeczności zwierząt. Do takiego wniosku upoważnia nas zachowanie się, jakie wielokrotnie obserwowałem u psów.

Ciężkim ciosem dla mego Bully'ego było, kiedy sprowadziłem do domu wspomnianego już hanowerskiego psa gończego, który postawił na swoim i przyjechał ze mną do Wiednia. Gdybym był przewidział zazdrość Bully'ego — nie zabrałbym ze sobą tego pięknego Hirschmanna! Całymi dniami trwała atmosfera hamowanej złości, zanim napięcie wyładowało się w jednej z najzażartszych psych walk, jakie widziałem kiedykolwiek, jedynej zresztą, jaka odbywała się w pokoju pana, gdzie zazwyczaj nawet najzawziętsi wrogowie żyją w obywatelskim przymierzu. Kiedy chciałem rozdzielić walczących, zdarzyło się, że Bully niechcący ugryzł mnie w brzusiec małego palca prawej ręki. Walka na tym się wprawdzie

urwała, ale Bully doznał najcięższego szoku nerwowego, jaki pies może w ogóle przeżyć: formalnie się załamał. Bo chociaż nie zrobiłem mu najmniejszej wymówki, tylko zaraz zacząłem go głaskać i przyjaźnie do niego mówić, leżał jak sparaliżowany na dywanie, nie mogąc się podnieść. Drżał jak w febrze, co parę sekund dreszcz wstrząsał jego ciałem. Oddech był bardzo pły-

151

tki, od czasu do czasu wrywało mu się tylko głębokie, żałosne wstchnienie, a z oczu ciekły grube łzy. Musiałem tego dnia znosić go na dwór na rękach; powrotną drogę przebywał wprawdzie sam, lecz wegetatywne zaburzenia napięcia tak zmniejszyły siłę mięśni, że ledwie się włókł po schodach.

Każdy, kto widziałby tego psa, nie znając uprzedniej historii, musiałby go uważać za ciężko chorego fizycznie. Trwało kilka dni, nim znów zaczął jeść, a i nawet wtedy brał jedzenie tylko po długich namowach i tylko z mojej ręki. Jeszcze całe tygodnie później tkwił przede mną w pozie przesadnej pokory, żałośnie odbijającej od zwykłego zachowania się tego upartego i mało służalczego psa. Jego wyrzuty sumienia tym bardziej mnie wzruszały, że i moje nie było czyste: sprowadzenie Hirschmanna wydawało mi się teraz niewybaczalną brutalnością!

Równie wyraziste, lubo nie tak rozdzierające było zdarzenie z angielskim buldogiem, samcem, należącym do pewnej zaprzyjaźnionej z nami sąsiedzkiej rodziny w Altenbergu. Bonzo, tak się ów pies nazywał, był wprawdzie ostry wobec obcych, ale dla rozumiejących psy przyjaciół rodziny był przystępny, a wobec mnie — nawet uprzejmy. Witiał się ze mną radośnie, kiedyśmy się spotykali poza domem. Pewnego razu byłem na zamku Altenberg — w domu Bonza i jego pani, zaproszony tam na podwieczorek. Kiedym przyjechał, zaparkowałem motocykl przed wejściem do leżącego samotnie w lesie zamku i schyliłem się, by ustawić motor na stojaczku, przy czym odwróciłem się tyłem do drzwi — z domu nadleciał Bonzo wściekły, i nie poznawszy, co jest wybaczone, mojej odzianej w kombinezon tylnej fasady, chwycił mnie mocno za nogę, której buldożym obyczajem nie wypuścił. Tb boli; wobec tego ryknąłem głośno i z wyrzutem jego imię. Jak trafiony kulą, Bonzo odpadł ode mnie i błagając o wybaczenie, wił się po ziemi.

Ponieważ najwidoczniej zaszło nieporozumienie, moja sportowa odzież zaś zapobiegła poważniejszej ranie — bo kilka sińców dla motocyklisty się nie liczy — zacząłem do niego przyjaźnie mówić, głaskałem go i chciałem tym sprawę zakończyć. Ale nie Bonzo. Przez cały czas, dopóki byłem w zamku, chodził za mną, przy podwieczorku siedział przytulony ciasno do mojej nogi, a ilekroć tylko na niego spojrzałem, siadał przede mną wyprostowany, ze spłaszczonymi daleko w tył uszami, wytrzeszczając boleśnie swe budłoże oczy, i usiłował wyrazić mi swoje ubolewanie przez frenetyczne podawanie łapy. Nawet kiedyśmy się w kilka dni później przypadkowo spotkali na drodze, nie przywitał mnie jak zazwyczaj podskokami i rubasznymi żartami, tylko przybrał przepisową pokorną postawę i dał mi łapę, którą serdecznie potrząsałem.

Rozważając postępowanie obu psów, muszę wziąć pod uwagę, że żaden z nich nie ugryzł nigdy przedtem ani mnie, ani żadnego innego człowieka. Skąd zatem wiedziały, że to, co zrobiły, chociażby przez omyłkę, jest tak godnym potępienia przestępstwem? Mogły być chyba w podobnym stanie ducha jak ja po zabiciu owych młodych szczurków. Uczyniły coś, czego im wzbraniały zakotwiczone głęboko w uczuciowości hamulce. Fakt, że stało się to omyłkowo, a zatem było całkowicie wybaczone z punktu widzenia rozsądku, tak samo im nie przeszkodził nerwowo się zadreć, jak mnie usprawiedliwiać się z zabicia szczurków.

Do innej kategorii zaliczyć trzeba nieczyste sumienie inteligentnego psa, kiedy coś zbroi, co wprawdzie z punktu widzenia zahamowań natury społecznej wrodzonych psom jest całkowicie naturalne i dozwolone, ale zakazane przez nabyte dzięki tresurze „tabu”. Każdy przyjaciel psów zna ową minę obłudnej niewinności i przesadną wzorowość, jaką prezentują

ostentacyjnie mądre psy, a z której pewny wniosek, że mają nieczyste sumienie.

Postępowanie ich wówczas jest do tego stopnia człowiecze i zabawne, że trudno się zdobyć na wymierzenie właściwej kary! Aliści równie ciężko przychodzi mi karać wykroczenie, które się pierwszy raz zdarzyło, i pies ma czyste sumienie, a więc kary

nie oczekuje.

Pies zarodowy starszej generacji z mojej hodowli krzyżówek owczarków z chowchow, Wolf I, był jednym z najbardziej krwiożerczych łowców, lecz nie zdarzyło się nigdy, aby bodaj skaleczył któreś z moich zwierząt, jeżeli w i e d z i a ł, że należy ono do domowego zwierzostanu. Wobec nowych, nie znanych mu wychowanków, zdarzały się natomiast niejednokrotnie przykre niespodzianki. Wolf wylał na przykład kiedyś drzwiczki komory, gdzie były zamknięte cztery nie podchowane jeszcze samce pawia. Na szczęście nadszedłem, gdy zdążył udusić tylko jednego. Wolf poniósł karę i nigdy więcej nie zaszczycił pawia nawet spojrzeniem.

Ponieważ przedtem nie mieliśmy kur, Wolf najwidoczniej nie zaliczył pawia do zwierząt nietykalnych. Zresztą jego zahamowania wobec poszczególnych gatunków ptaków rzucają interesujące światło na zdolność psa do rozróżniania gatunków, na umiejętność „abstrahowania” do pewnego stopnia. Rodzina kaczek była dla niego nietykalna w każdej sytuacji. Nawet w przypadku rodzajów mocno odbiegających od hodowanych przez nas dotąd nie trzeba było psu

154

mówić, że nowicjusze należą także do zwierząt chronionych prawem. Dlatego liczyłem na to, że Wolf, kiedy się go oduczy od zabijania pawia, będzie teraz szanował wszystkie ptaki z rodziny kur tak samo, jak szanuje kaczki. Okazało się to jednak błędem. Bo kiedy dokupiłem kury z karłowatej rasy, które miały mi wysiadywać rozmaite kaczki jaja, pies włamał się ponownie do tej samej komory, w której schwytał wówczas pawia, i pozabijał wszystkie siedem kurek, nie pożerając jednak ani jednej. Pies został ukarany, wystarczyła łagodna kara, trzeba mu było tylko w jakimś sensie powiedzieć, co jest zabronione, po czym zakupione zostały nowe kurki, do których nigdy się już nie dobierał.

Kiedy w parę miesięcy później dostałem złote i srebrne bażanty i zaaklimatyzowałem je w ogrodzie, byłem już mądrzejszy, zawołałem Wolfa, na wszelki wypadek, do skrzynek, w których przybyły, i tam łagodnie pchnąłem go parę razy nosem w bażanty, dając mu przy tym parę lekkich klapsów i wypowiadając słowa groźby. To zapobiegawcze skarcenie w zupełności wystarczyło: Wolf nigdy nie tknął żadnego z



naszych bażantów.

Natomiast zdarzyło się coś bardzo ciekawego z zakresu psychologii zwierząt.

Pewnego pięknego wiosennego poranka zszedłem do ogrodu i ujrzałem, zdumiony i oburzony, że mój wspaniały Wolf stoi pośrodku łączki z bażantem w paszczy!

155

Pies nie zauważył mnie, tak że mogłem go obserwować bez przeszkód. Wolf nie potrząsał bażantem, nie robił też nic innego, tylko stał znieruchomiąły z bażantem w zębach i dziwnie bezradną twarzą! Kiedy go przywołałem, nie wykazał ani śladu nieczystego sumienia, podszedł z podniesionym ogonem, trzymając wciąż jeszcze bażanta. Wówczas zobaczyłem, że złapał zwyczajnego dzikiego bażanta, a nie któregoś z naszych, biegających wolno, złotych czy srebrnych. Najwidoczniej ten arcyinteligentny pies znajdował się w ciężkiej rozterce, czy ten jeden bażant łowny, który zabłądził do naszego ogrodu, zalicza się do „poświęconych” zwierząt, czy nie. Prawdopodobnie uważał go początkowo za pospolitą zwierzynę i upolował, ale później, może dlatego że zapach przypominał mu zakazane kury, nie zabił go, jak to zwykł czynić z każdą złowioną sztuką. Wolf był wobec tego gotów natychmiast pozostawić rozstrzygnięcie mnie, i wyraźnie był zadowolony, że może tak zrobić. Dzikie bażanty, który nie był w ogóle skałeczony, przeżył w naszej ptaszarni długie lata i spłodził dużo dzieci z później wyhodowaną kurą.

Niektóre altenberskie zwierzęta doświadczały jednak owo poszanowanie ze strony naszych wielkich ostrych psów zgoła fałszywie; te bowiem pouczyliśmy wprawdzie, że szare gęsi są tabu, ale gęsi wyłożyły to sobie inaczej. Mianowicie „sądziły”, iż jedynie swej sile bojowej zawdzięczają to, że psy obchodzą je wielkim łukiem z daleka dla uniknięcia konfliktów. Tedy gęsi stały się zdumiewająco nieustraszone. Na przykład któregoś mroźnego zimowego dnia trzy duże psy pędzą do płotu, by obszczekać jakiegoś idącego drogą nieprzyjaciela. Pośrodku ich zwykłego szlaku — „drogi obszczekiwania” — usadowiło się stłoczone szczelnie stadko dzikich gęsi. Psy, głośno i nieprzerwanie szczekając, przeskoczyły je wysokim łukiem, a żadna z gęsi nie

156

miała nawet odruchu, by wstać, tylko kilka długich szyi wystrzeliło z sykiem w górę, miotając groźby za psami. W drodze powrotnej psy wołały, unikając utartej drogi, brnąć w kopnym śniegu, aby obejść z dala „płochliwą zwierzynę”.

Szczególnie jeden stary gęsior, despota w swojej kolonii, uczynił, zda się, celem swego żywota dręczenie psów. Jego żona wysiadywała jaja w pobliżu niewielkich schodków, prowadzących z ogrodu na dziedziniec, a stamtąd ku bramie. Ponieważ do wybranych dobrowolnie i nieuniknionych funkcji psa należy ujadanie przy bramie, ilekroć ją otwierają, psy musiały przebywać te schodki wiele razy dziennie — były to dla starego dzikiego gęsiora, patrolującego najwyższy schodek, okazje, aby uszczypnąć psa w ogon. Jeżeli psy musiały spełniać swój obowiązek szczekania, zmuszone były przemykać się z podkulonym ogonem obok syczącego gęsiora, aby się dostać do bramy. Zwłaszcza nasz dobroduszny i nieco płaczliwy Bubi, dziadek Wolfa I, był stale atakowany. Pies zwykł już zawczasu wydawać skowyt bólu, ilekroć miał przebyć ów feralny schodek.

Ten nieznośny stan znalazł dramatyczne i tragikomiczne zakończenie. Pewnego dnia znaleźliśmy starego złego gęsiora martwego na jego posterunku. Obdukcja zwłok wykazała minimalne wciśnięcie na potylicy, spowodowane najwyraźniej przez lekki ucisk psiego kła. Ale Bubi zniknął. Po długim szukaniu odnaleźliśmy go zupełnie złamanego, wśród starych skrzyń w najciemniejszym kącie piwnicy kuchennej, dokąd nie zabłąkał się nigdy żaden z naszych psów. Przebieg wypadku był dla mnie tak jasny, jak gdybym był jego świadkiem. Stary gęsior zdołał uchwycić przebiegającego psa za ogon tak mocno i tak go uszczypnąć, że Bubi nie zdołał pohamować lekkiego kłapnięcia obronnego w stronę bolącego miejsca. Przy tym tak nieszczęśliwie trafił gęsiora, że

157

jeden kiel wgniótł staremu jegomościowi podstawę czaszki, z pewnością dlatego, że kości starca, mającego wedle dokumentów dwudziesty piąty rok życia, były już łamliwe. Bubi nie został ukarany, ponieważ sąd orzekł sensownie „wyjątkowe właściwości ciała ofiary”. Została ona uroczyście przeznaczona na niedzielny obiad i przyczyniła się do rozproszenia szeroko rozpowszechnionego przesądu, że dzikie

gęsi są łykowate. Wielki, tłusty gęsiorko smakował doskonale i był kruchy. Moja żona wyraziła przypuszczenie, iż może dzikie gęsi od dwudziestego roku życia stają się znów miękkie.

Wierność i zgon

Kiedy Bóg stworzył świat, musiał mieć jakieś nie zbadane przyczyny, aby przeznaczyć psu mniej więcej pięciokrotnie krótsze życie niż jego panu. W życiu ludzkim jest dosyć cierpienia, kiedy musimy się żegnać z ukochanym człowiekiem i widzimy czas nadchodzący po temu, a nieuchronnie przewidziany przez fakt, że człowiek ten urodził się o parę dziesiątków lat wcześniej od nas. Można by sobie doprawdy zadać pytanie, czy wobec tego mądrą jest rzeczą przywiązywać się do stworzenia, u którego musi wystąpić zgrzybiałość i śmierć, zanim człowiek, urodzony w tym samym dniu co owa istota, wyjdzie z okresu dzieciństwa. Jest to smutne upomnienie o szybkiej przemijalności życia, kiedy pies, którego przed kilku laty — zda się wczoraj jeszcze — znaliśmy jako niezgrabne wrzuszające szczenię, zaczyna wykazywać pierwsze oznaki starości. I kiedy się wie, że należy oczekiwać jego śmierci za dwa, najwyżej trzy lata. Wyznaję, że starzenie się ulubionego psa zawsze rzucało cień na moje usposobienie i że odgrywało znaczną rolę wśród ciemnych chmur troski, jakie zaćmiewają każde spojrzenie człowieka w przyszłość. Nadto jest jeszcze ciężka walka wewnętrzna, jaką każdy właściciel psa musi stoczyć, kiedy jego pies ginie wreszcie na nieuleczalną chorobę starości, bo wy-

159

łania się wtedy posępne pytanie, czy i kiedy udzielić mu ostatniego dobrodziejstwa bezbolesnej śmierci pod narkozą. Wdzięczny jestem losowi, że mi do tej pory — rzecz dziwna — takiej walki oszczędził: z wyjątkiem bowiem jednego jedyne psa wszystkie inne umierały nagle, bezboleśnie, i w podeszłym wieku. Na to jednakże liczyć niepodobna, więc nie mogę brać za złe wrażliwym ludziom, że w obliczu nieuchronnego bolesnego pożegnania ani słyszeć nie chcą o sprawieniu sobie nowego psa.

Ale właściwie — biorę im to jednak za złe! Bo w życiu ludzkim każdą radość musi się nieodmiennie przypłacać cierpieniem, i w gruncie rzeczy uważam za żalnego

sknerę każdego, kto żałuje sobie tych nielicznych dozwolonych i na wskroś etycznych radości człowieczego żywota ze strachu, że przyjdzie mu zapłacić rachunek, który prędzej czy później życie nam prezentuje. Kto chce skąpić monety cierpienia, niechajże się schroni na staropanieńską man-sardkę i tam usycha stopniowo, jak jałowa bulwiasta roślina, co nie wydaje kwiatów.

Oczywista, zgon wiernego psa, który komuś przez półtora dziesiątka lat towarzyszył w życiu, przynosi mocne cierpienie, prawie tak ciężkie, jak śmierć kochanego człowieka. Ale w jednym zasadniczym punkcie jest ono lżejsze do zniesienia; miejsce, które wypełniał twój przyjaciel, pozostanie puste na zawsze. Miejsce twego psa jednak może być na nowo zajęte. Wprawdzie psy to indywidualności, osobowości w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu, i jestem ostatnim człowiekiem, który by to chciał negocjować! Ale są jednak znacznie do siebie podobniejsze niż ludzie.

Różnorodność indywidualna istot żywych pozostaje w stosunku wprost proporcjonalnym do ich rozwoju duchowego: dwie ryby jednego gatunku są właściwie jednakowe we wszystkich sposobach akcji

i reakcji; między dwoma chomikami syryjskimi albo dwiema kawkami może

wprawny znawca ich zachowania się stwierdzić już dostrzegalne różnice. Dwa kruki albo dwie szare gęsi mogą stanowić nieraz dwie, nader już różne osobowości. W jak

znacznym zatem stopniu zachodzą tu różnice u psów — skoro jako zdomestyfikowane zwierzęta wykazują już w samym zachowaniu się nieskończenie

szerszy wachlarz odmian indywidualnych aniżeli wspomniane tu zwierzęta nieoswojone. Z drugiej wszakże strony, psy w głębokich, instynktownych pobudkach swojej duszy, w tych zawiązkach, które określają ich stosunek do pana, są do siebie jednak bardzo podobne. Jeżeli więc zaraz po zgonie swego psa weźmie się szczenię tej samej rasy, wówczas w większości wypadków stwierdzić można, że wrasta ono dokładnie w te same okolice serca, w których śmierć poprzedniego — starego przyjaciela — pozostawiła smutną pustkę.

Pociecha taka może niekiedy przyjść tak szybko i być tak skuteczna, że czujemy coś na kształt wstydu wobec starego psa. Gdyż i tutaj pies jest od człowieka wierniejszy,

bo gdyby jego pan umarł, pies na pewno w ciągu półrocza nie znalazłby sobie żadnej namiastki, która by go pocieszyła! Może rozważania te wydadzą się komuś nie uznającemu zobowiązań moralnych wobec zwierzęcia sentymentalne, a nawet wręcz śmieszne. Mnie jednak nastroiły do pewnego dziwnego doświadczenia.

Kiedy pewnego dnia mój stary Bully, trafiony udarem serca, legł martwy na swoim „szlaku szczekania”, poczułem nagle głęboki żal, że nie mam jego potomka, który mógłby lukę po nim wypełnić. Miałem wtedy siedemnaście lat. Zgon Bully'ego był pierwszą stratą psa, jaka mnie dotknęła. Brak słów, by opisać, jak mi bardzo tego psa brakowało! Był moim nieodłącznym towarzyszem, i utykający rytm jego tuptania — Bully kulał na skutek źle wyleczonego

161

złamania barku — stał się do tego stopnia odgłosem moich kroków, że już w ogóle nie słyszałem tego dość głośnego dreptania wraz z towarzyszącym mu sapaniem. Od razu jednak odczułem jego brak. W pierwszym okresie po śmierci Bully'ego stało się dla mnie jasne, przez jaki to mechanizm psychiczny mogła zrodzić się u naiwnych ludzi wiara w duchy zmarłych, ba, jak się musiała zrodzić! Słyszenie latami drepcącego mi po piętach psa pozostawiło tak uporczywe wrażenie w moim mózgu — „ejdetycznym powidokiem” nazywa to zjawisko psychologia — że jeszcze całe tygodnie potem rejestrowałem z wręcz zmysłową wyrazistością tego psa, drepcącego moim śladem. Kiedy zaczynałem świadomie nasłuchiwać, tupot i sapanie raptownie się urywały, lecz gdy tylko myślałem o czymś innym, zdawało mi się znów, że je słyszę. Dopiero kiedy Tito, naówczas niezgrabny podłotek, zaczęła biegać za mną, duch starego Bully'ego — kulawego psa-widma, opuścił mnie ostatecznie.

Już i Tito nie żyje — jak dawno już! Ale j e j duch biegnie i węszy jeszcze po moich śladach, postarałem się, by to czynił! I to jest właśnie owo postępowanie, o którym mówiłem: kiedy mianowicie Tito leżała przede mną nieżywa, uświadomiłem sobie, że ją także zastąpi jakiś inny pies, jak ona zastąpiła Bully'ego. I, zawstydzony swoją niewiernością, złożyłem Tito dziwną przysięgę: że tylko jej potomkowie będą mi odtąd towarzyszyli!

Poszczególnemu psu człowiek z natury rzeczy nie może dochować wierności, ale —

jego rodowi. W istocie przyrody leży bowiem to, że szczerp znaczy dla niej więcej niż jednostka. Kiedy moja mała Susi, jej przodków znam od ósmego pokolenia, bo w naszej hodowli w dozwolonych granicach uprawiane było kojarzenie w pokrewieństwie, warczy i szczeka na niepożądanego natręta, którego wita z obłudną

162  
uprzejmością (później go niezawodnie z umiarem ugryzie) — bo nie daje się zwieść moim słowom — wówczas to odgadnięcie mojego rzeczywistego nastroju nie jest jedynie rysem charakteru Tito, który mała odziedziczyła, nie: ona sama jest wówczas Tito! Kiedy Susi na suchej łączce goni myszy wysokimi susami, co ma w zwyczaju wielu drapieżców, i z przesadną namiętnością dla tego zajęcia, jaka cechowała jej przodkinię chow-chow Pygi I, wówczas sama jest ową Pygi. A kiedy podczas tresury na „waruj” wynajduje zupełnie te same wykręty i wybiegi, by móc wstać, jakie wynajdywała przed jedenastu laty jej prababka — Stasi, kiedy jak tamte tapla się ochoczo w każdej kałuży, po czym z oznakami naiwnej niewinności wraca do domu, wówczas sama jest Stasi. I kiedy na cichych bezdrożach, zakurzonych wiejskich uliczkach czy w wielkim mieście biegnie moim śladem, bacząc wszystkimi zmysłami, by mnie nie zgubić, wtedy jest wszystkimi psami, jakie kiedykolwiek biegały za swoim panem, odkąd zaczął to czynić pierwszy szakal złocisty — jest niezmierzoną sumą miłości i wierności!

¥

Spis rzeczy

Jak mogło być w rzeczywistości 5

Źródła psiej wierności 15

Wychowanie 25

Psie obyczaje i rytuały 35

Pan i pies 50

Psy i dzieci 55

Rady co do wyboru psa 62

Oskarżam hodowców! 73

Falszywy kot — kłamiający pies 81

Przymierze obywatelskie 89

Płoty 108

Konflikty o małego dingo 114

Szkoda, że nie umie mówić! Ale rozumie każde słowo! 120

Zobowiązanie 130

Kanikuła 136

Zwierzę z sumieniem 148

Wierność i zgon 159

Zapraszamy do firmowych punktów sprzedaży w Warszawie:

Księgarnia, ul. Foksal 17, godz. 10.00 -18.00 tel. 26 02 01 (do 5) w. 204, 266

Magazyn hurtowy, al. Prymasa "tysiąclecia 83 godz. 8.00 -15.00, tel. 632 46 11 w. 291, 226

Magazyn hurtowy, ul. Kolejowa 8/10, godz. 8.00 -15.00

Oferujemy sprzedaż hurtową i detaliczną

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową przez KLUB DOBREJ KSIĄŻKI

Przyjmujemy zamówienia telefoniczne i pisemne

Dział Sprzedaży i Dystrybucji, al. Prymasa Tysiąclecia 83 godz. 8.00 -15.30, tel./fax 632 67 01 Klub Dobrej Książki, tel. 632 46 11 w. 291

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY ul. Foksal 17,00-372 Warszawa tel. 26 02 01 (do 5) tx 81 43 06 PIW fax 26 15 36

J Konrad Lorenz (1903-1989), wybitny etolog austriacki, znakomity eseista, laureat Nagrody Nobla, opowiada tutaj historię udomowienia psa, przedstawia jego fizjologię i psychikę, daje także mnóstwo wskazań natury praktycznej, jak postępować z tymi zwierzętami. Ale te informacje występują niejako na marginesie, treścią książki są bowiem przede wszystkim żywe, barwne, dowcipne, czasem wesołe, a czasem smutne historyjki o czworonożnych bohaterach, których autor bardzo dobrze zna, kocha i rozumie. I nie tylko psy. Lorenz jest gorącym miłośnikiem wszystkich stworzeń i otaczającej nas przyrody, w której znajduje źródło radości i odprężenia. Dodatkową atrakcją książki stanowią rysunki autora przedstawiające bohaterów jego opowieści.

12,00